W numerze: Mity i rzeczywistość Podklasztorza • Francoise Sagan o swej nowej powieści • Puccini – piewca zakochanych • Nowa Sara Bernhard • Gumka • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

Nr 30 (346)
1 VIII 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

JAN BĄBIŃSKI

Sapieha Tours and Safaris

Są bardzo młodzi, mają jednak za sobą połowę świata, może i cały świat. Byli wszędzie. Gdziekolwiek się pojawiali zaraz kładli na stole emblemat z narodowym godłem. To ambasadorzy, choć niecodzienni. To ambasadorzy polskiego przemysłu na zagranicznych rynkach. Stanisław Kamiński, Alicja Łągiewska, Zdzisław Pawlicki — są akwizytorami mister „Skórimpeksa" z miasta Łodzi. Więc ludźmi, którzy pozyskują nabywców, zbierają zamówienia, podpisują umowy na rzecz reprezentowanej przez nich centrali.

Ja: — Wyobrażam sobie jak pół miliona łodzian, że jest to jedna z najciekawszych prac, jaką można znaleźć w kraju.

Pawlicki: — Bo ja wiem, nigdy nie wiadomo. Wyleciałem w lutym z Warszawy. Temperatura minus 20 stopni C. Po 3 godzinach lotu, odziany w solidny płaszcz wylądowałem w Idriss-Port, gdzie akurat było plus 20 stopni. Amplituda kolosalna. Stal by się rozhartowała, cóż dopiero człowiek. Uderzenie obuchem jest potworne.

Kamiński: — Pierwsze spotkanie z egzotyką zawsze robi silne wrażenie. Niesamowitym przeżyciem było dla mnie „święto odwracania umarłych" na Madagaskarze. Chociaż Malgasze są katolikami zachowali pewne obyczaje z czasu pogańskiego kultu. Mieszkają byle jak, w lepiankach z gliny i gałęzi, w kurnych chatach bez drzwi i okien. Obok tych lepianek stoją grobowce bez porównania piękniejsze od domów mieszkalnych.

Ja: — Wspomniał pan o święcie odwracania umarłych, pierwszy raz o tym słyszę.

Kamiński: — To święto wiąże się z fanatyczną wiarą w życie pozagrobowe. Najpotworniejsze przekleństwo jakie kiedykolwiek może spaść na głowę Malgasza brzmi — „Oby cię ojciec nie przyjął do wspólnego grobu". — Wpadłem na obrzadek odwracania umarłych zupełnie przypadkowo w jednej z wiosek za Tananariwą. Mężczyźni, kobiety, dzieci, ściśnięci koło grobowca wirują, śpiewają, tańczą. Gwar, krzyki, zawodzenia. Te rytmiczne wrzaski wprowadzają tłum w zbiorową ekstazę. Wtedy grobowiec jest otwierany. Ciała, raczej resztki ciał są przewijane. Taki festyn trwa 3 dni i powtarza się co 5 lat.

Ja: — Nam, Polakom, Madagaskar kojarzy się z Beniowskim. Czy istotnie pamięta się o nim na tej wyspie? Czy może to mit ukuty przez Sieroszewskiego, Słowackiego o ile wiem nawet przez Węgra Jokai'a? Więc może i Beniowski to legenda?

Kamiński: — Nic podobnego. Beniowski pozostawił tam trwałe ślady. Sam przecież spacerowałem po placu Beniowskiego i po ulicy Beniowskiego. Wszyscy Malgasze z którymi się stykałem, wiedzieli doskonale kim był Beniowski i skąd przybył na ich wyspę. Pokazywano mi nawet ruiny pałacu królowej Madagaskaru, u której Beniowski przez pewien czas przebywał. W ogóle Malgasze to ludzie uprzejmi, wielu wykształconych, wszyscy jednak owijają z wierzchu płaszcze długimi zawojami od szyi po pas. To zaskakuje.

Ja: — Może w ten sposób przygotowują się do innego życia?

Kamiński: — A wie pan, że to może tak być. To bardzo prawdopodobne. Wiara w życie pozagrobowe jest tam obsesją, której wszystko inne jest podporządkowywane na każdym kroku. Nawet Francuzi swym znanym sceptycyzmem nie zdołali przyćmić tej wiary.

Ja: — Może pan trafił na potomków Beniowskiego? Proszę darować, chodzi w ogóle o Polaków.

Kamiński: — Polacy są wszędzie. Nie znam kraju, w którym by nie mieszkali Polacy. W Tananariwie często rozmawiałem z panią Lanaffe. To Polka z Krakowa, która ukończyła studia we Francji i wyszła za wysokiego urzędnika, zresztą Francuza. Pani Lanaffe jest na Madagaskarze jakby narodowym ceramikiem i rzeźbiarzem. Tworzy też kulturę ludową, bo Malgasze na dobrą sprawę żadnej nie mają. Pani Lanaffe propaguje więc w malgaskich wioskach wycinanki i ceramikę. Najbardziej zdumiewające jest, że są to łowickie wycinanki, łowickie dzbanuszki i talerze. Sztuka ludowa spod Łowicza zawędrowała na Madagaskar. Kto by się tego spodziewał? Przebywałem w willi państwa Lanaffe. To istne muzeum. Oczywiście łowickie.

Łągiewska: — Znalazłam się w bardziej kłopotliwej sytuacji. Zatrzymałam się w Pekinie przez cały rok, aby nauczyć się porządnie języka chińskiego. Opanowałam 7 tysięcy chińskich hieroglifów. Dużo i mało, jeśli się zważy, że ten język liczy 80 tysięcy znaków. Bądź co bądź po chińsku mówię już nieźle. Początkowo robiłam straszliwe pomyłki, chociaż sam język moim zdaniem nie jest trudny i przypomina swym rytmem język angielski. Składa się z bardzo krótkich, wyraźnie akcentowanych słów. To mu nadaje dużą potoczystość. Cała bieda w tym, że do chińskiego trzeba mieć ucho. Każde słowo jest wymawiane

Dalszy ciąg na str. 4

Co za pogoda tego lata...

KONRAD FREJDLICH

Pitaval łódzki

URODZAJ NA ŚMIERĆ

Rok 1907 obfitował w zamachy na dyrektorów i właścicieli fabryk, o których wiadomo było, że współpracują z ochraną. Już w pierwszych godzinach Nowego Roku Scheibler zmuszony był wyznaczyć 4 tys. rubli nagrody za wykrycie i wskazanie zabójców inżyniera Jana Ostaszewskiego i majstra Jana Polkowskiego. Fundusz ten zdecydował się przeznaczyć naczelnik ochrany Zujew na wódkę dla bandyty Aleksandra Włościańskiego, który suto raczony alkoholem sypał, co mu ślina przyniosła na język, przyczyniając się do śmierci wielu niewinnych osób.

10. III. 1907 r. zastrzelony został w mieszkaniu przy ul. Długiej 45 (dziś Gdańska) Maksymilian Broner, majster z fabryki Poznańskiego. 23. V. nieznani sprawcy zakłuli pilnikiem przechodzącego ul. Zachodnią przy domu nr 35 Dawida Rozenthala, dyrektora technicznego zakładów Poznańskiego, zaś 6. VI. na tej samej ulicy przy domu nr 17 zabity został wystrzałem z rewolweru Edward Raiss, dyrektor przędzalni tej fabryki. Dwa tygodnie później rozeszła się po mieście wiadomość, że dokonano zamachu na Taubwurcela, osobistego sekretarza dyrektora Herroksa, ale była nieprawdziwa. Prawdziwa była tylko panika właścicieli i dyrektorów fabryk. Jak 11. VI. doniósł „Kurier Warszawski" zostały zamknięte kantor i centralne biuro Towarzystwa Akcyjnego Poznańskiego przy ul. Ogrodowej 15 w Łodzi i przeniesione do Warszawy. Ignacy Poznański wyniósł się do Nanhein. Maurycy Poznański znalazł pretekst, aby pojechać do Moskwy, zięć Scheiblera Edward Herbst zamieszkał w Sopocie, przemysłowiec Biederman wybrał Drezno, zaś baron Tamfani przeniósł biura firmy „Heinzel i Kunitzer" do Baden-Baden.

Ale nie wszyscy mogli pozwolić sobie na wyjazd, gdyż administracje fabryczne przerażone wydarzeniami pracowały niezbyt gorliwie. Mimo lata nie wyjechał więc z Łodzi zięć fabrykanta J. Wiślickiego, Borys Lipczyc. 15 lipca dwaj młodzi ludzie strzelili do niego z rewolweru na dziedzińcu fabrycznym raniąc dyrektora ciężko, ale nie śmiertelnie. Swoich interesów musiał też pilnować mimo niebezpiecznych czasów Mieczysław Silberstein, właściciel trzech fabryk w Łodzi i Dąbrówce. W odróżnieniu od innych fabrykantów Silberstein niechętnie uciekał się do współpracy z żandarmerią. Był człowiekiem wykształconym (studia w Berlinie, Heidelbergu i Genewie, gdzie uzyskał tytuł doktora chemii) i uważał, że sam sobie poradzi, miał zresztą swoje sposoby na robotników, a kiedy się zjawiał w fabryce, w niczym nie przypominał konesera sztuki i miłośnika kultury antycznej, za jakiego uchodził na terenie miasta. Latem 1907 r. pan Silberstein nazbyt często dał się powodować nastrojom chwili i nietaktowne zachowanie dyrektora mógł usprawiedliwiać tylko fakt, że interesy nie szły najlepiej, a konkurencja przecież nie spała. Zarozumiałość pana Silbersteina została więc wystawiona na ciężkie próby.

Od początku zdecydował się na własną politykę wobec robotników i dlatego też nie przystąpił do istniejącego w Łodzi związku fabrykantów. Fabrykanci drażnili pana Silbersteina nie mniej niż robotnicy. Przemysłowiec, zdaniem jego, powinien być człowiekiem twardej ręki, a ci za często szli na ustępstwa. On mógł sobie z czystym sumieniem powiedzieć, że z hołotą fabryczną nie paktował nigdy. Do hołoty tej zaliczał zresztą w równym stopniu robotników jak i pracowników biurowych.

Poważniejsze kłopoty zaczęły się z początkiem lipca. 100 robotników oddziału samoprząśnic porzuciło pracę żądając podwyżki, ale 500 pracowników przędzalni zostało przy warsztatach. Silberstein postanowił wykorzystać ten fakt do skłócenia załogi — wymówił pracę wszystkim zawiadamiając, że bezczynność jednego oddziału wpływa niekorzystnie na produkcję drugiego, a na podobne marnotrawstwo jest za biedny. Co miało poróżnić ludzi, połączyło ich, no, ale w końcu Silberstein miał doktorat z chemii, a nie z psychologii. W trzy tygodnie później zraził do siebie także oficjalistów, za blahe prze-

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Tym razem zaskoczenie było całkowite. Komentatorzy wymieniali długą listę nazwisk, wśród nich wcale nierzadko powtarzało się nazwisko sekretarza stanu – Ruska, nikt jednak nie przewidywał, że następcą Stevensona zostanie sędzia Sądu Najwyższego – Arthur Goldberg.

Nominacja nowego stałego przedstawiciela USA w Organizacji Narodów Zjednoczonych wywołała więc szeroką falę komentarzy. W Stanach Zjednoczonych i na świecie.

W jednych podkreśla się, że Goldberg należał do otaczającego Kennedy'ego zespołu ludzi „nowych rubieży", że jest poglądów liberalnych, „zdolnym negocjatorem" i „mistrzem kompromisów", że był zaprzyjaźniony ze Stevensonem, w drugich – przede wszystkim na łamach prasy bliskowschodniej – że będzie napotykał kolosalne trudności w kontaktach ze światem arabskim, ponieważ jest Żydem.

I tak np. bejrucki „Al-Ahrar" – organ rządzącej w Syrii partii Baath pisze, iż nominacja Goldberga „wskazuje, jak mało Johnson liczy się z przywódcami arabskimi".

Wybór Goldberga, a nie któregoś ze znanych polityków, jest dość symptomatyczny. Ale na pewno nie z powodu, o którym pisze prasa bliskowschodnia. Wydaje się, że powierzając tę odpowiedzialną funkcję człowiekowi, który uchodzi za wielkiego przyjaciela ONZ, Johnson poszukuje drogi odbudowy autorytetu USA na tym forum.

Jeśli już rozpoczęliśmy dzisiejszy komentarz od „spraw personalnych" przenieśmy się z Waszyngtonu do Londynu, gdzie miała miejsce druga niespodzianka – Douglas Home zrezygnował ze stanowiska przywódcy partii konserwatywnej. Rezygnacji oczekiwano właściwie już od pewnego czasu, że jednak nastąpi teraz – nie przewidywano.

Przyczyny? Znane Czytelnikom kłopoty partii konserwatywnej. Następstwa? Te właśnie najbardziej interesują komentatorów. Nie wyklucza się dalszego rozbicia partii oraz jej ... modernizacji.

W chwili, gdy przygotowuję komentarz do druku, nie wiem jeszcze, kto obejmie przywództwo w partii. Wydaje się, że dojdzie do głosu jeden z przedstawicieli młodszej generacji konserwatystów, co tę modernizację może zapowiadać. Warto przy tym podkreślić, że po raz pierwszy w historii tej partii nowy przywódca wyłoniony zostanie w drodze głosowania. Dotychczas wyłącznie decydowano o tym za kulisami.

Po tych dwóch „sprawach kadrowych", które ze zrozumiałych względów wzbudziły duże zainteresowanie, przejdźmy do nie schodzącego z łamów światowej prasy problemu wietnamskiego. Złączono z nim ostatnio dwa nazwiska: Harrimana, który w wywiadzie dla towarzystwa telewizyjnego BBC stwierdził, iż w Moskwie bawił z poufną misją oraz Malraux – francuskiego ministra stanu, który niespodziewanie zjawił się w Pekinie.

Ta ostatnia wizyta – pierwsza od 1949 roku wizyta członka rządu francuskiego w stolicy Chin Ludowych – jest, zdaniem licznych komentatorów, zapowiedzią podjęcia przez Francję prób mediacji w konflikcie indochińskim i „dobrze wykalkulowana została z punktu widzenia chronologicznego i dyplomatycznego".

Podważając słowa Malraux, który określił swą wizytę jako „prywatną" – „Monde" wyraża przekonanie, że „nie ograniczy on swej działalności do zorganizowania wystawy chińskiej w Paryżu".

Niemal równolegle z tymi wizytami zwrócił uwagę jeszcze jeden fakt: na zaproszenie prezydenta DRW udała się do Hanoi oficjalna delegacja Ghany na czele z Kwesi Armahem. Zapytywany, jaki jest cel wyjazdu delegacji, Armah odmówił udzielenia odpowiedzi, wyjaśniając: „Nie chciałbym budzić spekulacji lub nadziei, które mogłyby zaszkodzić misji".

Myślę, że wystarczy przykładów, by Czytelnik zdał sobie sprawę, że wokół problemu wietnamskiego trwają pewne zabiegi, które jednak nie przekraczają rozmiarów sondaży.

Tymczasem amerykański express w Wietnamie rozwija coraz większą szybkość. „Stopniowanie wojny – pisał przed kilku dniami „New York Times" – ma swą własną przewrotną logikę: im bardziej okazuje się bezskuteczne (a McNamara w Wietnamie mówił podobno o tym nie jak wygrać wojnę, lecz jak jej nie przegrać – przyp. W. S.), tym mocniejsze stają się nalegania na rzecz dalszego stopniowania". Czyżby maszynista expressu, powracając do naszego porównania, tracił głowę i nie wiedział, dokąd jedzie?

Paradoks udziału Stanów Zjednoczonych w wojnie wietnamskiej polega m. in. na tym, że podczas gdy Johnson twierdzi, iż w Wietnamie zaangażowany został amerykański „honor narodowy", aktualny, któryś tam z rzędu, szef reżimu południowowietnamskiego – gen. Ky zmuszony był przyznać, iż społeczeństwo tego kraju „wykazuje obojętność wobec wojny". Potwierdzają to korespondenci Stanów Zjednoczonych w Sajgonie, odnotowując „istnienie silnego ruchu pacyfistycznego przeciwko wzmaganiu wojny".

Przewrotna logika; prawda?

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

NIEDZIELA 18 LIPCA

● Sekretarz obrony USA McNamara przybył do Sajgonu w związku z obecną sytuacją wojskową w Wietnamie Płd. Agencje zachodnie podkreślają, iż jednym z tematów rozmów, jakie przeprowadził McNamara jest zwiększenie zaangażowania Stanów Zjednoczonych w wojnę wietnamską oraz ewentualne rozszerzenie działań wojennych na teren Laosu.

● W ciągu ostatnich kilku dni przewodniczący zachodnioniemieckiej CSU Strauss wykazuje wielką aktywność polityczną. W przemówieniu wygłoszonym w Norymberdze Strauss zażądał prawa dysponowania bronią atomową dla Republiki Federalnej. Jego zdaniem zjednoczona Europa powinna dysponować bronią atomową i posiadać takie same prawa w jej stosowaniu jak Stany Zjednoczone.

● Agencja TASS podała, że decyzje podjęte przez Radę Najwyższą ZSRR w sprawie rent i podwyżki płac dla robotników i pracowników umysłowych zatrudnionych w sferze usług, w sposób bezpośredni wpłynęły na podniesienie stopy życiowej 20 proc. dorosłej ludności kraju. Dzięki tym posunięciom realne dochody obywateli radzieckich wzrosły w bieżącym roku o prawie 7,5 proc.

PONIEDZIAŁEK 19 LIPCA

● Wizyta ambasadora USA Harrimana w Moskwie oraz rozmowy jakie przeprowadził on z premierem Kosyginem znalazły się w centrum zainteresowania prasy światowej. Według zgodnej opinii obserwatorów politycznych spotkanie Kosygin – Harriman było najważniejszym radziecko-amerykańskim kontaktem od czasu ustąpienia Chruszczowa.

● Policja sajgońska podała do wiadomości, że wielu młodych Południowowietnamczyków okalecza się lub przebiera za kobiety, aby uniknąć służby wojskowej. Władze sajgońskie zamierzają tworzyć specjalne oddziały tragarzy frontowych, do których mają być włączeni ci, którzy w celu uniknięcia służby wojskowej obcięli sobie wskazujące palce u rąk lub w inny sposób okaleczyli się.

● W związku z siedemdziesiątą rocznicą śmierci Engelsa odbędzie się w Jugosławii sympozjum na temat „Marksizm a współczesne nauki przyrodnicze, matematyczne i techniczne". Przewodniczący komitetu tej imprezy prof. dr S. Stankovic oświadczył m. in., że tego rodzaju konferencja naukowa przyczyni się znacznie do rozwoju życia ideologicznego, do dalszego rozwoju publicznej krytyki.

WTOREK 20 LIPCA

● W prasie francuskiej mnożą się głosy przestrogi przed postawą NRF stanowiącą czynnik hamujący na drodze do odprężenia między Wschodem i Zachodem. Głównym tematem publikacji są obecne ambicje atomowe NRF oraz jej dążenia do utworzenia Wielostronnych Sił Nuklearnych.

Jeśli nie chcecie bawić się, tak jak ja chcę, to biorę piłkę i idę do domu... (Louisville Courier-Journal)

● W czasie ostatniego posiedzenia KC Włoskiej Partii Komunistycznej referat na temat sytuacji międzynarodowej wygłosił członek kierownictwa i sekretariatu partii Mario Alicata. Przeprowadzając krótką analizę polityki radzieckiej i amerykańskiej w ostatnim dziesięcioleciu Alicata stwierdził, że jego zdaniem słabością chruszczowowskiej strategii pokojowego współistnienia było w pierwszym rzędzie to, że nie potrafiła ona ująć w jeden ogólny plan działania wszystkich elementów walki rewolucyjnej, tj. umocnienia krajów socjalistycznych, walk narodowo-wyzwoleńczych i walki o demokrację i socjalizm w rozwiniętych krajach kapitalistycznych. Rezultatem tej słabości było przeceniene elementów współzawodnictwa gospodarczego między socjalizmem a kapitalizmem oraz tendencja do występowania na arenie międzynarodowej w roli przedstawiciela wszystkich państw socjalistycznych oraz wszystkich sił antyimperialistycznych i rewolucyjnych.

ŚRODA 21 LIPCA

● Premier Ugandy Milton Obotte po zakończeniu swej tygodniowej wizyty w Chinach oświadczył, iż przywódcy chińscy nie są w zasadzie przeciwni negocjacjom w sprawie Wietnamu, jednakże zgodziliby się na negocjacje jedynie pod warunkiem wycofania wojsk amerykańskich z Południowego Wietnamu.

● W Moskwie podpisany został kontrakt między francuskim towarzystwem przemysłowym a radziecką centralą importową na dostawę do Związku Radzieckiego wyposażenia dla fabryki amoniaku. Wartość transakcji szacuje się na sumę około 23 milionów dolarów. Agencja AFP podkreśla, że jest to trzecia wielka umowa francusko-radziecka zawarta od czasów podpisania porozumienia handlowego między Francją a ZSRR w listopadzie 1964 r.

CZWARTEK 22 LIPCA

● Agencja AP o sytuacji w Wietnamie: „Wydarzenia w Południowym Wietnamie zdają się w sposób nieunikniony wciągać Stany Zjednoczone do takiej wojny lądowej w Azji, która zdaniem wielu ekspertów amerykańskich może być prowadzona jedynie wielkim kosztem. Dzieje się tak, ponieważ armia południowowietnamska nie była w stanie sprostać rosnącej sile komunistów, którzy sprawują obecnie kontrolę nad 80 proc. powierzchni kraju".

● Nowe przepisy liberalizujące formalności związane z pobytem turystów zagranicznych w Jugosławii korzystnie wpływają na rozwój turystyki weekendowej z sąsiednimi krajami. W kwietniu i maju przybyło do Jugosławii ponad 167 tys. turystów.

● Agencja Sinhua o obradach Kongresu Pokoju w Helsinkach: Wysiłki pewnych osób, aby manipulować Kongresem, działać na rzecz imperializmu USA oraz narzucić światowemu ruchowi pokoju linię kapitulancką a w szczególności przeforsować oszukańcze „rozmowy pokojowe" na temat Wietnamu, zostały udaremnione po ostrej walce na Kongresie.

PIĄTEK 23 LIPCA

● W artykule redakcyjnym komentującym najświeższe osiągnięcia amerykańskiego pojazdu kosmicznego Mariner 4 „New York Times" domaga się wspólnych ze Związkiem Radzieckim badań przestrzeni kosmicznej, aby uniknąć „zbędnego powtarzania wysiłków".

● W bieżącym miesiącu rozpoczęto w CSRS zakrojone na szeroką skalę prace mające na celu dokonanie wielu zmian w strukturze i życiu poszczególnych organizacji społecznych. Wszystkie organizacje społeczne przeniosą swą działalność z zakładów do miejsc zamieszkania pracowników. Na terenie fabryk działać będą tylko organizacje partyjne, związkowe i młodzieżowe. Uważa się, iż właśnie tam, gdzie ludzie pracy spędzają swój wolny czas istnieją szczególnie podatne warunki dla prowadzenia pracy politycznej i społecznej.

SOBOTA 24 LIPCA

● Komentator spraw międzynarodowych w prorządowym dzienniku szwedzkim „Stockholms Tidningen" w artykule pt. „Fakty i propaganda wokół granic Niemiec" pisze, że niedawno ogłoszone wyniki ankiety wśród przesiedleńców w NRF świadczą niezbicie, że przywódcy organizacji przesiedleńczych nie mają oparcia w masie przesiedleńców. Dotyczy to przede wszystkim młodszej generacji. Najwyższy już czas – konkluduje komentator – aby zachodnioniemieckie partie polityczne zdobyły się na szczery język w tych sprawach, które wywołują tyle zupełnie zrozumiałej nieufności w Polsce i Czechosłowacji i uznały obecne granice.

● Amerykański senator Morse wyraził opinię, że istnieją w Departamencie Stanu i w Departamencie Obrony silne ugrupowania domagające się podjęcia wojny przeciwko Chinom Ludowym. Senator Morse wystąpił z żądaniem, aby w obliczu tych faktów Kongres nie rozjeżdżał się w obecnym sezonie na wakacje, ale został, by śledzić postępowanie administracji.

● W miesięczniku „Kommunist" ukazał się artykuł redakcyjny pt. „Propaganda antyradziecka jednym z głównych kierunków ideologii współczesnego imperializmu". Miesięcznik postuluje wzmożenie operatywności organów radzieckiej propagandy jako czynnika przeciwstawiającego się infiltracji ideologii burżuazyjnej. „Ważne jest – czytamy w artykule – nie tylko wyjaśnianie tego czy innego faktu – trzeba to robić również w porę. Należy przyznać, że burżuazyjne agencje informacyjne osiągnęły dużą operatywność i umieją niezwłocznie reagować na wszystkie wydarzenia światowe, my zaś niekiedy spóźniamy się z informacją. To zaś oznacza, że kłamliwa wersja obiega świat szybciej niż wersja prawdziwa i dokładna. Tymczasem pierwsza wiadomość wywiera niekiedy większe wrażenie. W dzisiejszych warunkach zasięg informacji i jej operatywność stają się najważniejszą sferą walki ideologicznej, toteż w tej dziedzinie wszelka niefrasobliwość jest karygodna.

POLONICA

TUWIM I LEM W „ZNANIE I SIŁA"

Naukowo - fantastyczny miesięcznik „Znanije i Sila" w swoim czerwcowym numerze zamieścił mało znane u nas wypowiedzi Juliana Tuwima na temat kolekcjonerów, wszelkiego rodzaju zbieraczy i hobbystów.

W tymże numerze Stanisław Lem zabiera głos w związku z kontrowersyjnym wystąpieniem W. Śmigli, który twórczość pisarzy-fantastów stawia pod znakiem zapytania. Lem w swoim bardzo obszernym artykule wykłada niejako credo literatury naukowo - fantastycznej, broniąc jednocześnie należne jej miejsce, jakie zdobyła sobie u czytelników.

MARIA RUTKIEWICZ W „INOSTRANNOJ LITIERATURE"

W 5 numerze miesięcznika „Inostrannaja Litieratura" ukazało się kilkunastostronicowe opowiadanie Marii Rutkiewicz pt. „Granica istnienia" w przekładzie M. Rymży.

Treścią opowiadania są zdarzenia z czasów okupacji, rozpoczynające się pamiętnym zrzutem na spadochronie na zajęte przez hitlerowców ziemie Polski — Marcelego Nowotki. Jest to piękna opowieść o pierwszych dniach Gwardii Ludowej, o bohaterskich czynach komunistów, którzy z bezprzykładną odwagą walczyli o nową Polskę.

Ten sam miesięcznik zamieszcza notatkę informacyjną, dotyczącą XX rocznicy ukazania się na półkach księgarskich „Medalionów" Zofii Nałkowskiej.

„Ta książka i obecnie, w momencie odradzania się neohitleryzmu na Zachodzie Europy, nic nie straciła na aktualności" — pisze komentator.

POLONIA FRANCUSKA O XX-LECIU FILHARMONII NARODOWEJ

Tygodnik „La Semaine Polonaise" w nr 28 z dnia 11 lipca br. przynosi wiadomość o obchodach jubileuszowych Filharmonii Narodowej i jubileuszu Wielkiej Orkiestry Rozrywkowej PR. Oto co pisze komentator: „Stefan Rachoń zorganizował niemal nazajutrz po wojnie niewielki początkowo zespół muzyczny, który stał się pierwszą orkiestrą Polskiego Radia. Dziś Wielka Orkiestra Rozrywkowa PR pod dyrekcją zasłużonego i utalentowanego dyrygenta, jest jednym z najlepszych zespołów w kraju..."

Sprawozdanie z uroczystości uzupełniają zdjęcia solistów: Ewy Demarczyk, Haliny Kunickiej, Anny German i Jerzego Połomskiego. Ponadto zdjęcie całego zespołu orkiestry.

BRUNO JASIEŃSKI NA LITWIE

Dziennik „Czerwony Sztandar", wychodzący w Wilnie w języku polskim, stara się informować Polaków zamieszkałych na Wileńszczyźnie nie tylko o sukcesach naszej gospodarki. W swoim numerze z dnia 11 lipca br. dziennik przypomina o zbliżającej się rocznicy urodzin wielkiego polskiego poety i pisarza Bruno Jasieńskiego.

W rubryce „Rocznice tygodnia" dziennik podaje: „Dnia 17 lipca 1901 r. urodził się Bruno Jasieński, polski poeta i pisarz rewolucyjny, autor głośnych utworów „Słowo o Jakubie Szeli" i „Palę Paryż".

Przy okazji należałoby przypomnieć, że o ile proza B. Jasieńskiego została udostępniona powojennym czytelnikom, o tyle Jasieński-poeta przez wydawnictwa został zupełnie niemalże zapomniany.

E. I.

URODZAJ NA ŚMIERĆ

Dalszy ciąg ze str. 1

winienie wymówił pracę powszechnie lubianemu kasjerowi nazwiskiem Gutman. Ten pogadał z kolegami z biura i następnego dnia nie przyszedł do pracy ani jeden z urzędników nie tylko z oddziału przy ul. Pustej, ale także z biura centralnego, które mieściło się obok mieszkania fabrykanta przy ul. Piotrkowskiej 40. Silberstein pojął, że zbyt się zagalopował, toteż już następnego dnia cofnął Gutmanowi dymisję. Ruszyły zakłady i podjęło pracę biuro, ale kilkunastu robotników na oddziale salfaktorów nie wróciło do warsztatów. Jakby poprzednie wypadki nie dały Silbersteinowi nic do myślenia fabrykant sięgnął po starą taktykę. 1. VIII. kazał wywiesić ogłoszenie: „Ze względu na bezrobocie na oddziale salfaktorów, fabryka na czas nieograniczony zostaje zamknięta".

Staraniem endeckiego związku zawodowego „Jedność" w dwa tygodnie później praca znowu została podjęta. Na wiecu, który poprzedził pertraktacje, po raz pierwszy stanęła sprawa ewentualnego zamachu na Silbersteina, ale wobec sprzeciwu przedstawicieli SDKPiL oraz PPS żywioł endecki nie miał odwagi wysunąć otwarcie takiej tezy — terror ekonomiczny potępiły przecież wszystkie działające w Łodzi partie. Z porozumienia, jakie „Jedność" osiągnęła nikt właściwie z wyjątkiem Silbersteina nie był zadowolony — pracę podjęto na dawnych warunkach. Nie minął więc tydzień, gdy wybuchł nowy strajk, tym razem na oddziale tkalni, w trajberni przy ul. Piotrkowskiej 260. W odpowiedzi na to wywieszono nowe ogłoszenie w postaci ultimatum — jeżeli strajkujący nie wrócą w przeciągu trzech dni do pracy, fabryka zostanie zamknięta na czas nieograniczony. Silberstein dotrzymał słowa. Zwierzył się zresztą, że na decyzję tę wpłynęło nieprzyjazne przyjęcie go przez robotników, a nie strajk, którego znaczenie starał się bagatelizować. Nie przyjazne przyjęcie nie polegało bynajmniej na obrzuceniu pryncypała zgniłymi jajami. Otóż pan Silberstein wybrawszy się któregoś dnia na lustrację fabryki spostrzegł stojącą na dziedzińcu robotnicę. Na widok fabrykanta dziewczyna uciekła do hali i zmieszała się z tłumem zatrudnionych przy warsztatach. Pryncypał puścił się za nią w pogoń, wzbudzając pełne politowania uśmiechy majstrów, których zdziwiła zaciekłość fabrykanta. Robotnicy zaś powitali biegnącego Silbersteina gwizdaniem i sykami, co go zresztą przeraziło nie na żarty. Rezygnując z dochodzenia odjechał powozem, ale zdarzenie przeżył głęboko i postanowił przy najbliższej okazji wziąć odwet. Teraz ogłosił lokaut. Bezrobocie nie objęło tylko administracji i oficjalistów, urzędnikom pracy nie wymówił. Ale następnego dnia opustoszały wszystkie kantory. Sprawiła to terrorystyczna akcja bojowców, którzy w dniu ogłoszenia lokautu opanowali kantor centralny przy ul. Piotrkowskiej 40 i nakazali urzędnikom rozejść się do domów. Żądanie to oficjaliści spełnili bez oporu, rzec by można, że nawet gorliwie. Czynna była tylko część przędzalni, ale i tam zaszło zdarzenie, które pozwoliło Silbersteinowi zastosować starą taktykę — ogłosić lokaut. Pretekstem do tego była wymiana zdań między pracownikami a majstrem Wilczyńskim. Kiedy robotnicy zażądali, aby ich zwierzchnik także pracował, usłyszeli lapidarną odpowiedź: „Jeśli się wam nie podoba, to idę do domu". Ktoś odkrzyknął mu: „A niech pan idzie". Więc majster opuścił fabrykę i nie wracał do niej przez tydzień. Silberstein zaś oświadczył: ponieważ siłą usunęliście z fabryki majstra, przędzalnia zostanie zamknięta. Oddział miał zostać uruchomiony ponownie po przeproszeniu majstra przez załogę, zapłacie przez robotników kar pieniężnych a także złożeniu przez wszystkich przyrzeczenia, że od tej pory ludzie dołożą wszelkich starań, aby produkcja szła napychając panu silbersteinowe kieszenie. Ta prowokacja rozżaliła zwłaszcza delegatów załogi, którzy skrobnęli do „Rozwoju" list wyjaśniając prawdziwe tło zajścia, a skutek tego był taki, że majster Wilczyński z własnej woli przerwał swoje wywczasy. O przeprosinach nie mogło już więc być mowy, natomiast Silberstein w dalszym ciągu nie chciał się wyrzec rubli, które miały wpłynąć jako naznaczone robotnikom kary, a ponieważ chciwość jego nie miała granic, przędzalnia stała dalej, uruchomiono natomiast tkalnię przy ul. Piotrkowskiej 240. Trzeba jednak stwierdzić, że produkcja szła tam bardzo opornie, gdyż robotnicy domagali się wypłaty utraconego pod czas jedenastodniowego lokautu, za robku. Silberstein z trudem hamował swój gniew, ale w końcu wybuchnął. Wściekłość wyładował na delegacji robotników tkalni dopuszczonej przed jego oblicze po kilku dniach poniżających zabiegów i nie dając nikomu dojść do słowa wymachiwał pistoletem, wreszcie nakazał wyrzucenie delegacji siłą za drzwi. Było to 12 września, w czwartek, następnego zaś dnia Silberstein jakby zapominając o wszystkim kazał zaprzęgać powóz i równo z południem wysiadł na dziedzińcu fabrycznym oddziału tkalni. Właściciela z należnymi honorami powitali zarządzający tkalnią Kalecki oraz dyrektor Gliksman. Silberstein jednak nie zwracając uwagi na te uprzejmości kazał się prowadzić na oddział pakarni, gdzie składowano partię nowo wyprodukowanego materiału. Na drugie piętro Silberstein wszedł o własnych siłach, drogę powrotną musiał zaś odbywać na noszach. Dokładnie o godz. 18 min. 15 oficjaliści spostrzegli trupa pryncypała, nie pozostawało więc nic innego jak powiadomić policję i odwieźć zwłoki do mieszkania przy ul. Piotrkowskiej 40. Wypadek ten spowodował wkrótce obszerną korespondencję pomiędzy ministrem spraw wewnętrznych Stołypinem a tymczasowym generał-gubernatorem Skałonem, oraz tym ostatnim i generałem Kaznakowem, a rezultatem jej było zamordowanie 8 robotników fabryki Silbersteina, zmasakrowanie dalszych 48 i zesłanie w odległe gubernie 127, w tym 13 kobiet.

Kaethe Kollwitz

Spróbujmy więc odtworzyć przebieg tych sześciu godzin, w oparciu o dostępne materiały archiwalne i publikacje prasowe zastrzegając od razu, że nie ma wśród dokumentów akt sądowych, nie dlatego zresztą, że zaginęły. Akt sądowych tej sprawy nie było po prostu nigdy.

Jest dzień 13 września 1907 roku, piątek, godzina dwunasta z minutami. Silberstein, Kalecki i Gliksman znajdują się na drugim piętrze, na dole zaś stoi przy warsztatach tłum robotników liczący blisko 700 osób. Nagle ktoś rozpoznaje stojący na dziedzińcu powóz pryncypała. Ludzie zaczynają się zastanawiać, po co tu przyjechał. Ktoś podsuwa najprostsze i najbardziej logiczne wytłumaczenie — przyjechał zapłacić za czas lokautu. Są wśród tłumu tacy, co gotowi są wybaczyć od razu Silbersteinowi wszystkie jego postępki, są oczywiście i tacy, którzy patrzą na wszystko sceptycznie. W mig przeszukano fabrykę i nagle trzydziestu najśmielszych pracowników stanęło przed właścicielem, który bynajmniej nie zmieszał się tym spotkaniem. Ludzie od razu rozpoznali swoją omyłkę i zamierzali się cofnąć, gdy wyzywające zachowanie Silbersteina sprowokowało ich do zmiany zamiaru. W jednej chwili narodził się plan uwięzienia pryncypała w fabryce, wzięcia go niejako w zastaw za ciążący na nim dług w wysokości 15 tys. rubli, choć wykonanie takiego planu było prawie niemożliwe, gdyż w każdej chwili tkalnię mogło otoczyć wojsko. Ci, którzy stali teraz przed Silbersteinem odgrodzeni od składu towarów tylko dużą szklaną przegrodą, nie mogli się już cofnąć. Na dole lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że Silberstein już płaci i cała załoga waliła na górę wypełniając pakarnię po ostatni centymetr przestrzeni. Mimo chaosu i dezorganizacji robotnicy nie zapomnieli o wystawieniu warty przy wejściu do fabryki, a także przy telefonach i przez dobrych kilka godzin tkalnia była rzeczywiście odcięta od miasta. Silberstein został odizolowany od Kaleckiego i Gliksmana, których zaprowadzono do kantoru, gdzie przebywali wszyscy oficjaliści, i stał tak naprzeciw tłumu, który go prosił, zaklinał, błagał, groził mu wreszcie, stał w poczuciu absolutnego bezpieczeństwa licząc na odsiecz i prowokował ludzi do gróźb. Nawet w takiej chwili chciał ich poniżyć. Silberstein nie mylił się, wśród robotników znalazł się zdrajca, który po dwóch godzinach tego pełnego napięcia wyczekiwania, dał znać do kantoru centralnego przy ul. Piotrkowskiej 40 o sytuacji w jakiej znalazł się fabrykant. Drogocenną informację przejął buchalter Goldber i poniósł do zarządu Towarzystwa Akcyjnego, gdzie panowie dyrektorzy zaczęli naradzać się, co robić, ale przez całe 4 godziny nikt do policji nie zatelefonował, choć wiadomość była wiarygodna, gdyż Goldber rozpoznał z kartki autora pisma i uważał, że należy darzyć go zaufaniem. Tymczasem na ul. Piotrkowskiej 240 nic się jeszcze nie zmieniło. Silberstein pozował na nieugiętego. O godz. szóstej wieczorem rozległy się strzały rewolwerowe, ktoś na dziedzińcu krzyknął „Silberstein strzela" i ludzie panicznie zaczęli uciekać, w kwadrans później rezultat spotkania Silbersteina z robotnikami stał się wiadomy dla oficjalistów tkalni, po godzinie wiadomość obiegła całe miasto siejąc panikę wśród przemysłowców. Władze nie wiedziały jak zareagować, czego najlepszym dowodem fakt, że nikogo nie aresztowano tego dnia, represje zaś spadły na robotników nazajutrz, kiedy odebrawszy klucze Kaleckiemu, który ze strachu udał chorobę, najspokojniej przystąpili do pracy na tkalni. Na początek aresztowano 6 osób spośród delegacji robotniczej, która poprzednio porozumiewała się z Silbersteinem, gdyż żandarmeria uważała, że delegaci zwabili fabrykanta na oddział tkalni przygotowawszy uprzednio zamach. W dniu pogrzebu Silbersteina, a więc 17 września, dokonano dalszych aresztowań (łącznie 19 osób). Na marginesie raportu, który Radkiewicz przesłał w tym dniu Skałonowi, tymczasowy generał-gubernator dopisał: „Jeśli oni znani, to niezwłocznie rozstrzelać". Stało się zgodnie z tym życzeniem, 23 września rozstrzelano bez sądu 8 osób, a mianowicie Emila Obsta, l. 30, Reinholda Hochta, l. 34, Władysława Danielewskiego, l. 18, Piotra Puchałę, l. 31, Bruna Kunka, l. 28, Fiodora Kaszubę, l. 18, Józefa Blocha, l. 29 i Albinę Miller, l. 38.

Warto by się zastanowić, jaki był ewentualny udział tych ludzi w zabójstwie Silbersteina, skoro spotkała ich tak surowa i to pozasądowa kara. Trzeba więc wrócić na oddział tkalni, gdzie 13 września po południu rozegrał się finał zdarzenia. Fabrykant wciąż trwa przy swoim — nie, nie zapłacę wam. Ktoś próbuje podchwytliwie tłumaczyć: gdyby tak pana schwytali bandyci, z pewnością nie potrafiłby pan odmówić. W odpowiedzi Silberstein z uśmiechem wyciąga rewolwer. „Na bandytów mam to" — wygraża. Tłum cofa się, ale jeden z robotników wykorzystując moment nieuwagi Silbersteina, odbiera mu broń. Fabrykant prosi czy też rozkazuje, żeby przyniesiono mu wody, w oddziale rzeczywiście jest duszno. Ktoś spełnia rozkaz, ale zaraz robi mu się wstyd, sam wypija wodę. Napięcie nie maleje. Stojący w tylnych szeregach ludzie, nie mający wzrokowego kontaktu z Silbersteinem wznoszą okrzyki. Wreszcie po 360 minutach tego psychicznego szamotania robotnik Feller nie wytrzymuje nerwowo, zbliża się do Silbersteina z rewolwerem: „Dasz, czy może wolisz...?" „Po co się cackasz" na to Silberstein, „strzelaj". Feller przytomnieje, ale w tym momencie fabrykant przeliczył się w swoich rachubach. „Wystarczy przecież spuścić kurek" — szydzi Silberstein. Feller nie ma odwagi. Z tłumu krzyczą: „Strzelaj". Nic. I nagle wystrzały. Cztery, jeden po drugim.

Po kilku tygodniach przesłuchań policja zna wreszcie nazwisko zabójcy. Żeby uzyskać tę informację poddaje bestialskim torturom setki osób. Rodzi się projekt zesłania 700 ludzi w głąb Rosji, ale oponuje Stołypin. Na wszelki wypadek rozstrzelano bez sądu wymienionych już wcześniej osiem osób. Spośród nich tylko Danielski znajdował się koło Silbersteina, niektórych w ogóle nie było tego dnia w fabrycznej hali. Miller rozstrzelano przede wszystkim dlatego, że była kochanką Fellera.

Staje się oczywiste, że policja dokonała masowego morderstwa. Staje się oczywiste nawet dla tych, którzy domagali się okiełznania „kanalii robotniczej". Przecież w gruncie rzeczy rozstrzelano osoby pierwsze z brzegu. Aby nikt nie miał wątpliwości, że dokonano słusznego wyboru robotników do zamordowania, policja rozpuszcza wiadomość, iż przy jednym z nich znaleziono fotografię zabitego przez nieznanych sprawców dygnitarza wojskowego. Czyli tak czy inaczej rozstrzelać należało. Nie ma już kto sprostować tej machinacji.

KONRAD FREJDLICH

LISTY do REDAKCJI

Do naszej redakcji napływa wiele listów, z którymi redakcja często nie wie co począć. Oto jeden z nich:

„Droga Redakcjo! W związku z moim (jak sama twierdzę) zapalczywym kolekcjonowaniem nie tylko melodyjnych piosenek ale i zdjęć ze słynnym zespołem „THE BEATLES", o ile to możliwe, bardzo bym prosiła o fatygę i możność przysłania mi fotografii, zamieszczonych w tygodniku „ODGŁOSY" nr 28/314 z dnia 18. VII. 65 r. Jeżeli redakcja nie będzie w stanie przysłać dwóch zdjęć, to w takim razie prosiłabym o zdjęcie zamieszczone na stronie tytułowej lub zdjęcie zamieszczone na stronie 5 pod tytułem „THE BEATLES".

(Proszę o zapewnioną dyskrecję)

Czytelniczka tygodnika „ODGŁOSY" oraz kolekcjonerka zdjęć z zespołem „THE BEATLES".

Dyskrecję oczywiście zapewniamy. Ze zdjęciami — niestety — sprawa przedstawia się dużo gorzej: sami je kolekcjonujemy.

* * *

A oto list innego czytelnika:

„Najwyższa już pora, żeby „ODGŁOSY" ukazywały się w szacie graficznej godnej pisma wychodzącego w drugiej połowie dwudziestego wieku. Niech redakcja weźmie do ręki takie pismo jak włoska „Epoca" czy choćby naszą własną „Polskę" i niech porówna te magazyny z „Odgłosami"...

Tyle czytelnik. A my, członkowie redakcji, od dawna i bezskutecznie zabiegający o poprawę szaty graficznej naszego pisma, wzięliśmy do ręki włoską „Epocę" i naszą własną „Polskę" i porównaliśmy z „Odgłosami". Po czym wpadliśmy w bezdenną rozpacz, z której dźwignęło nas dopiero pewne stare porzekadło. Brzmi ono: „Jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma".

Z satyry niemieckiej.

Sapieha Tours and Safaris

Dalszy ciąg ze str. 1

w kilku różnych tonacjach. W zależności od tonacji sens słowa zmienia się całkowicie. Dlatego przez pierwszy miesiąc uczyłam się tylko samych dźwięków fonetycznych. Ale nie uchroniłam się od zabawnych potknięć. Któregoś dnia zaczęłam marzyć o naszych naleśnikach. Udałam się do sklepu, żeby kupić trochę mąki. Poproszę „niempat" powiedziałam do sprzedawcy. Ten wybałuszył na mnie wpierw oczy, potem zaczął się histerycznie śmiać. Tarzał się po prostu na ziemi ze śmiechu. Okazało się, że „niem-pat" wymówione w innej tonacji niż trzeba, oznaczało bardzo, ale to bardzo brzydkie słowo. A niuanse w wymowie są niewielkie. W końcu dostałam mąki i upiekłam naleśniki. Boże jak one smakowały...

Pawlicki: — Święto odwracania umarłych powtarzają na Madagaskarze co pięć lat, ale w Libii świętuje się prawie codziennie. W piątek świętują mahometanie, w sobotę Żydzi, w niedzielę chrześcijanie. W inne dni tygodnia obowiązuje popołudniowa sjesta. Wszystko zabite deskami. Gdy ulicami Tripolisu przejeżdża jakaś dostojność sklepy są zamykane, biura również. Kto żyw wylega na ulicę śpiewa, krzyczy, klaszcze. Wesoło tam żyją. Do tego nieźle. W zeszłym roku wydobyto w Libii 40 milionów ton ropy. To już się liczy. Nie mogłem poznać tego kraju.

Ja: — Czy ktoś z państwa przebywał w Kenii?

Kamiński: — Byłem tam w zeszłym roku.

Ja: — Czy Kenyatta jest naprawdę postacią tak popularną? Istnieje przecież także drugi pogląd co do tego. Wszystkie te młode narody, budując państwowość, skupiają swe siły prawie zawsze wobec jakiejś wybitnej jednostki. Ponoć to pozostałość dawnego kultu plemiennego wodzostwa.

Kamiński: — Widziałem Kenyattę. Jest on czczony w sposób trudny do wyobrażenia. Kenyatta w języku suahili znaczy — płomienna włócznia. To rzeczywiście płomienna, bardzo dynamiczna postać. Widziałem go jak przejeżdżał w skórzanej kurtce, którą zachował jeszcze z okresu partyzantki. Powiewał bunczukiem z końskiego włosia. W Nairobi urządziliśmy wystawę kilku central handlu zagranicznego, które mieszczą się w Łodzi. Już w dniu otwarcia tej wystawy przybyła do nas pewna Polka z mężem i dziećmi. Przejechali 400 kilometrów, z farmy kawy w głębi kraju. Pamiętam moment, gdy ta kobieta przystanęła przed jedną z naszych kap o ludowych motywach. Stała długo w miejscu bez słowa i bez ruchu. Potem szepnęła — taką kapę miała na łóżku moja mamusia. Przybył też do nas miejscowy ksiądz, też Polak o którym słyszeliśmy, że jest naszym antagonistą. Nie było go w dniu otwarcia wystawy, choć w gronie gości zauważyłem księcia Sapiehę, także wielu innych, miejscowych Polaków. Ksiądz nie wytrzymał. Zjawił się po 3 dniach. Na pożegnanie powiedział: — Wiecie co, nie spodziewałem się po was tego. To coś wspaniałego. Takiej wystawy jeszcze tu nie było. Organizacyjnie postawiona bardzo dobrze. Moje gratulacje, sam jestem z was dumny. Dziękuję wam z całego serca.

Ja: — Czyżby Sapieha mieszkał w Kenii?

Kamiński: — Owszem, książę Eustachy Sapieha mieszka w Nairobi z żoną, 3 córkami i synem. Prowadzi bardzo znane przedsiębiorstwo turystyczne „Prince Sapieha Tours and Safaris". Często prowadzi nabitych dolarami Amerykanów szlakiem Hemingwaya na grubą zwierzynę. W domu Sapiehów polskość po prostu się celebruje. Nawet służba mówi po polsku. Dzieci przepadają za polską szynką. W Kenii to zupełnie wyjątkowy rarytas, który można tam wydębić tylko wiadomym sobie sposobem. Jedna z córek Sapiehy poskarżyła się do mnie — szynkę je tylko tatuś w niedzielę na śniadanie, nikt tylko on. — Książę Sapieha trzyma też polską wódkę w tajemniczym schowku, do którego klucze nosi przy sobie. Polską wódką częstuje najbardziej znakomitych gości. Delicją nad delicjami jest u Sapiehów gryczana kasza. Podaje się ją w mikroskopijnych ilościach, raz w tygodniu, jako deser po niedzielnym obiedzie. A to dlatego, że naszej kaszy w ogóle tam nie ma w sprzedaży. Najstarsza córka Sapiehy zdała właśnie maturę i wybiera się na studia do Krakowa. Sapieha postanowił, że wszystkie jego dzieci skończą wyższe uczelnie w Polsce.

Ja: — Czy spotkał pan tam również innych Polaków?

Kamiński: — Polacy są wszędzie, nie brak wśród nich także awanturników. Kiedyś odwiedziła nas Hinduska. Jedna z najbogatszych panien Kenii. Jej ojciec obraca milionami. Ta Hinduska miała prawo okazać nam pewien żal. Nie uczyniła tego. Otóż swego czasu uciekł z Gdyni na jachcie do Sztokholmu niejaki Żukowski. I tenże Żukowski, z którym zresztą zetknąłem się w Szwecji, wylądował potem w Nairobi. Zawrócił w głowie Hinduskę, urządzał bale, przyjęcia, kupował jakieś brylanty. Skąd miał na to, tego nikt nie wie. Stał się w Kenii niezwykle popularny. Wszyscy go znali. Dwa dni przed ślubem z Hinduską, Żukowski dał drapaka do Argentyny. Tam chodził koło jakiejś fantastycznie bogatej angielskiej lady. Teraz znów słyszę, że czmychnął z Argentyny i kręci się w NRF. Poznałem też w Nairobi pewnego jegomościa, który przed wojną grywał w Białymstoku w 3 karty. Dziś to magnat. Posiada willę, 3 samochody i wielki zakład jubilerski. To obecnie stateczny człowiek, dość nawet kulturalny. Dziwne spotkanie miałem również w Tanganice. Jechaliśmy buszem, kilkaset kilometrów za Dar-Es-Salam. Po drodze natknęliśmy się na Masajów. To jedno z najdzikszych chyba plemion Afryki. Na sam ich widok skóra cierpnie. Nie mają na sobie niczego. Ciało smarują mieszaniną gliny i moczu. Wydają nieprawdopodobny odór i ciągle unosi się nad nimi kłębowisko much. Nietrudno sobie wyobrazić z jaką ulgą zaraz po tym spotkaniu wpadliśmy do osady o nazwie Morogo. Ta osada leżała zresztą na linii safari, którą bogaci turyści udawali się na lwy, czy słonie. W miejscowym hoteliku, wyposażonym o dziwo w lodówkę, przywitała nas bystra, żywa niewiasta. Na dźwięk polskiej mowy odwróciła się jak rażona gromem wpierw do mnie, potem gwałtownie do kolegi. Przez dłuższą chwilę nie mogła przemówić. Zaparło jej oddech. Spoglądała na nas nie wierząc swoim oczom. Polacy, mój Boże Polacy...

Ja: — Stare polskie kolonie istniały kiedyś w Charbinie. Ale to już zupełnie inna kwestia.

Łagiewska: — Tak, ja interesowałam się głównie Chińczykami. To naród o wielkiej dumie. Biedny, ale uczciwy. Kiedyś zajrzały do mego pokoju młode Chinki, koleżanki. Właśnie przebierałam się. Patrzyły, patrzyły, wreszcie jedna odezwała się — jak nasza ojczyzna będzie również tak bogata, to my też będziemy się tak nosić. — Panuje tam dyscyplina społeczna o jakiej my w Europie nie mamy zielonego pojęcia. Od czasu do czasu, ze względu na trudności, wydawano zarządzenia, by w mieszkaniach prywatnych i hotelach nie palić żarówek po 9 wieczorem. Nie zauważyłam, by ktokolwiek omijał to zarządzenie. Gdy któregoś wieczora odruchowo zapaliłam w pokoju światło po 9 wieczorem, moja, zresztą bardzo dobra przyjaciółka, Chinka, stanęła jak wryta. Po prostu nie mieściło się jej w głowie, że można nie wykonywać poleceń, skoro tego wymaga racja stanu.

Ja: — Nic jeszcze nie powiedzieliśmy sobie o kontaktach handlowych.

Kamiński: — Na Madagaskarze nie ubiłem zbyt dobrych interesów. Temperatury są na tej wyspie zaskakująco niskie. Prawie zawsze ludzie noszą palta. Ale chodzą przy tym boso. Przeszło 9 milionów Malgaszów kupuje zaledwie 600 tysięcy par obuwia rocznie. Kokosów nikt tam na trzewikach nie zbije.

Pawlicki: — Kiedy jechałem 40-kilometrowym odcinkiem z portu lotniczego do Tripolisu, taksówkarz zapytał: — Czym pan handluje? Oponami odpowiedziałem, polskimi oponami, „de-gumami" z Dębicy. Co pan mówi — ucieszył się Arab — sam jeżdżę na de-gumach, są wyborne, lepszych nie trzeba... Mnie ta odpowiedź oczywiście nie zaskoczyła. Wiem przecież, że nasze eksportowe opony są najwyższej klasy. Utrzymują się na libijskim rynku mimo morderczej konkurencji słynnego włoskiego koncernu „Pirelli". A trzeba wiedzieć, że kiedy byłem w Tripolisie przed kilku laty, miasto liczyło kilkaset starych gratów, które nazywano autami. Obecnie w tym mieście zarejestrowano już 50 tysięcy samochodów. Arab przesiada się z wielbłąda na auto. Co druga rodzina w Tripolisie ma już własny samochód. Tak więc pomyślałem sobie, że na tak szybko rozwijającym się rynku powinienem też ulokować nasze klinowe. Udało się. Transakcja wypadła okazale. Nasze wyroby są w krajach arabskich dość powszechnie używane i cieszą się bardzo dobrą marką. Za miastem zobaczyłem już pierwszego dnia długonogiego Araba na maleńkim osiołku. Patrzę, Arab podpiera się naszymi łódzkimi „pepegami", tenisówkami z gumy. Inna rzecz, że Libijczycy przerzucają się teraz na skórzane sandały „made in Stargard". Oni tam piekielnie szybko dorabiają się na nafcie.

Kamiński: — Podobnie dzieje się w Kuwejcie.

Ja: — Czytałem w jednym z ostatnich numerów „Newsweek", że Kuwejt to obecnie jeden z najbogatszych krajów świata. Średni dochód na głowę ludności w stosunku rocznym ma tam podobno wynosić 2.200 dolarów. Kwota oczywiście astronomiczna. Słychać, że emir Kuwejtu założył parki, w których utrzymanie jednego drzewa kosztuje 140 dolarów rocznie.

Kamiński: — Może nawet kosztuje więcej. Po Kuwejcie krąży bez przerwy kilka tysięcy ogromnych cystern, które rozwożą wodę do prywatnych domów. Bezpłatnie rozwożą. Wiele rzeczy wydaje się tam ludności bezpłatnie. Dzieci otrzymują za darmo pomoce szkolne. Także obuwie. Podpisałem właśnie z Ministerstwem Oświaty w Kuwejcie umowę na dostawę 90 tysięcy par obuwia dla dzieci w wieku szkolnym. Inna sprawa, że wszelki handel z Arabami to raczej operacja dość skomplikowana. Moje pierwsze zetknięcie z Afryką nastąpiło w sudańskim Chartumie. Upał był piekielny, dochodził do 67 stopni C. I przy takim upale przez cały dzień targowałem się z arabskim hurtownikiem o ceny 5 różnych artykułów. Ten Arab był analfabetą, chodził boso, ale był wytrawnym, kutym na wszystkie rogi kupcem. Czego ten człowiek nie wyrabiał. Rzucał sandałami o ziemię, rozpinał koszulę, krzyczał, wyrywał sobie włosy z głowy, w pewnej chwili mało nie zapłakał, utrzymując, że celowo przyjechałem do niego z Belondii, żeby go zrujnować i wpędzić całą jego rodzinę do grobu. Nie ustępowałem. Walczyłem o każdy cent do 8 wieczorem. W końcu Arab niespodziewanie rozpromienił się. Podszedł do mnie, poklepał po ramieniu. — No — dawno sobie tak nie pohandlowałem — roześmiał się.

Ja: — Cóż by jeszcze. Staje mi przed oczyma widok tej Polki przed zwykłą kapą.

Kamiński: — Tej kobiecie podarowaliśmy kapę. Niosła ją przed sobą na ręku do samochodu. Drugą ręką zasłaniała oczy.

Notował:
JAN BĄBIŃSKI

ANDRZEJ MAKOWIECKI

MITY i RZECZYWISTOŚĆ Podklasztorza

Sulejów — opactwo. Baszta Kazimierzowska.

Legenda mówi, że gdzie dziś opactwo — dawnymi czasy szumiała puszcza, pełna tajemniczych trzęsawisk, dzikiego ptactwa i zwierza. Nikt nie zaglądał w jej ostępy, żaden śmiałek nie mącił jej spokoju. Aż pewnego razu zapędził się tam na łowy Kazimierz Sprawiedliwy ze swą drużyną. Młody książę ujrzał wówczas ogromnego rogacza, za którym pospieszył niebacznie coraz dalej i dalej w ciemną otchłań boru. Nagle zwierz zniknął myśliwemu z oczu za powalonym przez starość dębem, a z nieba deszcz się rzucił, błyskawice i pioruny, rażąc serce Kazimierza wielką trwogą. Kiedy osamotniony i bezbronny wobec nawałnicy skrył się wraz z koniem pod drzewo — oślepiła go cudaczna jasność i wskroś grzmoty słowa posłyszał: „Kazimierzu, tu świątynię zbuduj, a dożyjesz sędziwej starości".

Sprawiedliwy ów książę posłuchał głosu niebios, i w ten sposób według podania, powstała świątynia.

Według historii — sprawa miała się nieco inaczej: do leżącej piętnaście kilometrów od Piotrkowa okolicy — sprowadził zakonników w końcu wieku XII Racław z rodu Awdańców, zwany Skarbkiem. Już w 1232 roku okoliczne chłopstwo pod nadzorem cystersów (ich to bowiem Skarbek ściągnął) zbudowało okazały kościół, potem zaś siedziby konwentów i inne zabudowania opactwa. Uruchomiono także młyny, tartaki, warsztaty tkackie. — Wszystko to czyniło gniazdo cystersów miejscem wspaniałym i bogatym, godnym najwyższego podziwu...

Świetny rozwój klasztoru zahamował w 1241 roku najazd Tatarów, którzy zniszczyli doszczętnie opactwo i przyległe do niego wioski. Wówczas przezorni cystersi odbudowali kościół i klasztor nadając im charakter twierdzy obronnej; baszty teraz powstały, grube mury i wartownie, most zwodzony i strzelnice. Ale złośliwy los przebił i tę tarczę: podczas potopu Szwedzi zniszczyli i splądrowali posiadłość zakonników równie dokładnie, jak przedtem Tatarzy.

Ostateczny cios spadł na cystersów w 1819 roku, gdy nastąpiła kasacja zakonu. — Pozbawione opieki mury Podklasztorza niszczały w oka mgnieniu, a spustoszenia dokończył wybuchły w 1846 roku pożar.

Trzeba przyznać, że ani legenda, ani historia nie kwestionują daty 1932.

Pewnego letniego dnia wspomnianego roku zjawił się w Podklasztorzu dwudziestojednoletni człowiek i odtąd zaczęła się nowa era opactwa, nowe przeznaczenie...

Człowiek ten nazywał się Zacheusz Misiurski i został społecznym opiekunem zabytku, nad którego ruinami kołowało wtedy ptactwo i poświstywał wiatr, rozsypując w pył zmurszałe, bezpańskie, a prastare mury. Misiurski był w ówczesnej Polsce jedynym chyba obywatelem traktującym nędzne resztki z dawnego opactwa cystersów jako zabytek. I jako też jedyny z ludzi chuchał i dmuchał w te resztki niby w gasnące ognisko; rzec by można — na coś czekał.

Owszem, przyjeżdżali wielcy dygnitarze. W pamiątkowej księdze, którą pan Zacheusz zowie złotą, znajduje się autograf ministra Grabskiego, prezydenta Wojciechowskiego i jeszcze wielu innych, znakomitych; ale żaden z owych panów — oprócz zdawkowych słów uznania dla stróża klasztoru i bałwochwalczego podziwu dla gnijących ruin — nie włożył w zabytek ni grosika. Więc Misiurski podjął bój samotnie, pod złowrogim spojrzeniem plebana i nieufnymi oczkami podklasztornego chłopa. Nie wyremontował, oczywiście, rozwalonej baszty, nie przywrócił dawnych kształtów murom... Tego, wbrew najlepszym chęciom, biedny nauczyciel z Sulejowa dokonać nie był w stanie. Ale, jak pisałem, z uporem maniaka dmuchał w stare zgliszcza, chuchał — jakby czekał cudu i niewiele brakowało, by doczekał...

Pierwsze spotkanie z hitlerowską Rzeszą miało miejsce 4 września 1939 roku o godzinie 15. Dojrzał wówczas przez okno 16 sztukasów lecących kluczem i sypiących na pobliskie pola srebrne nici — w pierwszej chwili kojarzył to z fajerwerkiem, świętem jakimś państwowym; zaraz potem zestroił te nitki z batonami ciężkiej czekolady, a jeszcze potem ugięły się łaki i prastary tynk z mauretańskiej baszty przysypał klasztorny gościniec.

Były to bomby zapalające; tym, co zrzucali, przywodziły na myśl zimne ognie. Ci, co zrzucali, zeszli potem na wysokość 300 metrów i siekli w Misiurskiego, w jego żonę, w zabłąkane na polach i zdziwione dzieci, siekli z maszynowej, pokładowej broni, przez bitą godzinę, dla samej zabawy, a gdy wreszcie wchłonął ich horyzont, nadleciało 16 następnych sztukasów i znowu ziemia pod klasztorem drżała, znowu cegły wypadały z murów...

By nie doczekał — brakowało mało.

Była godzina piąta rano, a dzień, dokładnie, 11 lutego 1941 roku.

Zbudził ich pies. Później ktoś zaczął kopać w drzwi, więc odsunął pobladłą żonę i otworzył. Gestapo. Czterech. Błysk latarek i świszczące, rozeźlone słowa, których treść rozumiał. Kiedy trzech szperało w katach domu, czwarty mówił, co pozwala zabrać, więc nie chleb, nie masło, nie słoninę, a

Francoise Sagan o swej nowej powieści „La Chamade" (Kapitulacja)

Wakacje Francoise Sagan rozpoczęły się lodowatym dreszczem. Było to 1 czerwca na dworcu lyońskim. Na parę minut przed odjazdem pociągu, spostrzegła nagle brak walizki, w której własnoręcznie ułożyła sto pięćdziesiąt arku-

szy rękopisu (prawie dwie trzecie) niedokończonej powieści. Miała ją pisać na południu Francji dokąd się właśnie udawała. Szybko... telefon do Boba – jej eksmałżonka i... na szczęście okazało się, że po prostu w zamieszaniu przed podróżą, cenny bagaż pozostał zapomniany w domu. Bob pokonując korki uliczne, dotarł na peron w chwili gdy pociąg dawał sygnał do odjazdu.

Nowa powieść Franciszki, 15 lipca została przekazana do druku, a ukaże się na półkach księgarskich zapewne we wrześniu. Jej tytuł – „Kapitulacja". Sama Franciszka tak go objaśnia: „La Chamade – oznaczało niegdyś zespół bebnów ogłaszających kapitulację i odstąpienie od obleganego miasta... Dziś słowo to określa także stan psychiczny – uczucie osamotnienia, zagubienia, słabości, gdy bicie serca rozsadza piersi i głowę..."

Swą pierwszą powieść „Witaj smutku", Saganka napisała w przeciągu miesiąca, tym razem pracowała cały rok. Aby skończyć swą „Kapitulację" wynajęła małą willę w Saint-Tropez, gdzie towarzyszyli jej tylko trzyletni synek Denis i Juliette Greco.

Dwudziestego pierwszego czerwca postawiła ostatnią kropkę – nowa powieść była skończona właśnie w dniu 31 rocznicy jej urodzin. Franciszka twierdzi, że ta powieść „była najbardziej męcząca, ale też i najważniejsza".

„Dla mnie – mówi autorka – to temat najżywotniejszy: być w dzisiejszym świecie czymś więcej niż mechanizmem podlegającym impulsom, jakże często sprzecznym z naszą naturą. Lucile (bohaterka powieści) pragnie tylko przebywać w słońcu, słuchać rytmu własnego serca i marzyć. Myśli jedynie o ulubionych książkach i o miłości. William Faulkner, którego cytuję w mej książce, twierdzi, że to co czyni ludzi nudnymi, brutalnymi i złymi to przede wszystkim – czcigodność".

A przecież Lucile, to nie kto inny jak sama Saganka. Opór młodej kobiety wobec własnego środowiska i jego drobnomieszczańskich nawyków, w którym czuje się „jak ryba w maśle" – to przecież jej własny opór i chęć przeciwstawienia swej niezależności.

Lęk przed brakiem pieniędzy, to ciągła obsesja Lucile, ale także i Franciszki.

„Pieniądz, to nasz tyran. Pomyślcie – ludzie dziś to jedno mają w głowie. Nie twierdzę, że pieniędzmi pogardzam, a gdy ich nie mam czuję się okropnie głupio, jednak nie lubię ich, gdyż w gruncie rzeczy, od ich posiadania uzależniona jest nasza głęboka, biologiczna potrzeba wolności..."

Jeśli to prawda, co twierdzi Franciszka, że wolność uzyskuje się wraz z pieniędzmi, warto by jeszcze wiedzieć, jak też ona tę wolność wykorzystuje.

Nowa Sara Bernhard — Magnani

Po ćwierćwieczu spędzonym w filmie, Anna Magnani powróciła na scenę.

Proszę siadać. Może kawy? Ja bez kawy zasypiam. Dio mio! jakaż jestem zmęczona.

To, być może już milionowy wywiad na przestrzeni tych 25 lat, w których świat poznaje jej nieprawdziwe życie i prawdziwą legendę. W tej chwili siedzi na oryginalnej kanapie Sary Bernhard w jej dawnej garderobie, specjalnie umeblowanej tymi autentykami dla wielkiej Anny Magnani, która przybyła do Teatru Narodów w Paryżu, by po wielu latach rozbratu z teatrem, zagrać w „Wilczycy" Giovaniego Verga.

– Dalej! proszę pytać, Magnani będzie odpowiadać! – Patrzymy na nią, a ona wie, iż wszystko co powie i tak będzie przekręcone, zmienione lub przemilczane, że obietnice dyskrecji zostaną złamane i że... Dio mio! to prawdziwe nieszczęście ci dziennikarze. Niestety trzeba przez to przejść, te wywiady, konferencje prasowe, niedyskrecje i oczywiście klamstwa.

O co pytać? W prasie były już przecież wszystkie możliwe odpowiedzi i to po trzy lub cztery różne na te same pytania.

– Anno, gdzie jest prawda? – – Wszystko to kłamstwo, wszystko! Oni zmyślają i... Dio mio! napisano, że urodziłam się w Egipcie. Ja Rzymianka! W Egipcie! No widzieliście...

Czy rzeczywiście była dzieckiem nędzy? Czy, to prawda, że matka ją porzuciła gdy miała trzy lata?

Dementuje to Alessandrini – jej pierwszy mąż: „Nie, matka nigdy jej nie opuściła, przeciwnie żyły zawsze blisko ze sobą. Życie Anny było zapewne trudne, ale nigdy nie była w nędzy. Poznałem ją w 1932 roku, w 1933 została gwiazdą w trupie Aristida Baghetti. Wtedy ją poślubiłem. Wówczas jeszcze nie zaczęła z filmem".

– Przed filmem robiłam moc rzeczy: małe teatrzyki, objazdy, a także music-hall, lubię to i mam odwagę się przyznać.

I właściwie na przekór Alessandriniemu wstępuje do filmu. Ostatecznie łatwiej porzucić człowieka, niż własne marzenia. Ciao! i Anna odchodzi, by rozpocząć swą wielką karierę. Od 1938 do 1944 nakręciła około 12 filmów, ale dopiero w 1944 roku zabłysła „Rzym miasto otwarte" i „Orlątko" – filmy które ujawniły wielkiego reżysera i odkryły gwiazdę jakiej nie było.

Z Rossellinim kręci następnie „Cud" i „Głos człowieka". Wówczas też zaczyna się jej burzliwy romans z tym, który ją później opuści dla Ingrid Bergman.

Magnani potrzebuje lat, by otrząsnąć się po tym ciosie jakim była dla niej utrata Rosselliniego.

Przez pewien czas nie występuje w filmie. Powiedział o niej wtedy Indro Montanelli: „Anna jest czymś więcej niż wielką aktorką. Ona ma także wielki charakter. Ona nigdy nie gra, nie potrzebuje, ona przeżywa, jest autentyczna. Jest największą indywidualnością jaką znam i dlatego jest samotna".

Anna jedzie do Hollywood, by w 1956 roku zatriumfować w filmie „Tatuowana róża" i zdobyć Oscara za grę aktorską. Teraz na nowo zdobywa sławę większą niż kiedykolwiek. Prasa porównuje ją z Duse i Gretą Garbo.

Czy jest szczęśliwa? Ma pieniądze, przyjaciół, sławę, piękny dom w Rzymie i drugi nad morzem. O czym marzy w życiu?

– Marzę czasem, tak, o moim synu Luca, innych marzeń nie mam.

Luca ma lat 23 i kończy architekturę. Podobno bardzo podziwia swą matkę.

– Innych pytań nie ma?

– Nie, już nie. Żegnaj Anno wielka, sławna, a przede wszystkim, jak sama mówisz – autentico.

Puccini — piewca zakochanych

Jeżeli zrobimy bilans oper wystawianych w La Scali od początku sezonu musimy stwierdzić, że zatriumfował tu Puccini (18 przedstawień przeciw 8 Verdiego). To samo zjawisko można zaobserwować w Operze paryskiej. Puccini, głównie dzięki swym trzem czołowym dziełom: Cyganerii, Tosce i M-me Butterfly, jest we wszystkich operach lirycznych świata, najpopularniejszy. Powstałe w łagodnym klimacie „la Belle Epoque", przejść musiały swój kryzys w latach 1950, kiedy to zachwiały się wszystkie dawne wartości artystyczne i na czas pewien zatriumfowała „Nowa fala". Lecz stary urok przetrwał i piewca wiecznej kobiecości, powrócił triumfalnie na sceny oper świata.

Urodzony w Lucques 22 grudnia 1858 roku Giacomo Puccini, Toskańczyk obdarzony był cechami właściwymi ludziom tych okolic – finezją, wrażliwością i elegancją. Był osmym dzieckiem organisty Michała Pucciniego, wnukiem organisty, a i sam także organista. W szkole muzycznej wyróżniony w 16 roku życia. Wtedy to wybrał się pieszo do Pizy, przemaszerował około 20 kilometrów, by zobaczyć po raz pierwszy w życiu spektakl operowy. Była to „Aida" Verdiego. To przeżycie, wpłynęło na dalsze jego losy, postanowił zostać kompozytorem.

W roku 1880 wyjeżdża do Mediolanu na studia.

W roku 1884 zostaje wystawiona jego pierwsza opera „Villi".

Nieco później zdobywa miłość Elwiry swej przyjaciółki z lat dziecinnych, która choć zamężna, pewnego dnia ucieka z nim do Mediolanu. Dopiero po piętnastu latach, po śmierci męża Elwira zostaje jego żoną, wtedy też Puccini może dopiero usynowić ich 14-letnie już dziecko, Antonia.

W roku 1893 wielki sukces – wystawienie Manon Lescaut. Wkrótce przenosi się z rodziną do Torre del Lago koło Viareggio, gdzie pozostanie do roku 1921. Dziś jezioro to nazwano Lago Puccini, a jego dom, gdzie znajdują się groby całej rodziny, jest miejscem pielgrzymek licznych turystów.

Dom to ponury, tak jak i jego otoczenie, a przecież tu właśnie żył i tworzył swoje najświetniejsze dzieła.

Pracował zawsze nocą, paląc niezliczoną ilość papierosów i przy drzwiach szeroko otwartych, tak, że zgromadzeni w głębi domu goście, mogli przysłuchiwać się, jak powstają jego dzieła.

Puccini był pionierem sportu samochodowego. Miał kolekcję pojazdów mechanicznych od motocykla do amfibii, a jego eskapady wywoływały panikę w okolicy.

Po ponurych latach pierwszej wojny światowej Puccini jakby

stracił humor i wiele ze swej dawnej werwy. Tymczasem atmosfera się nie poprawiła. Mussolini doszedł do władzy. Puccini uważał go za szarlatana. Gdy pewnego razu przepływał w swej amfibii jezioro, jeden z rybaków zaczął mu wygrażać pięściami. Ten incydent zdecydował o opuszczeniu Torre del Lago. Artysta buduje willę w Viareggio, w międzyczasie umiera jego ukochana siostra Iginia.

Puccini poczuł się nagle stary i bardzo znużony. Wreszcie w roku 1923 rodzina przenosi się do Viareggio i tam raz jeszcze „maestro" zabiera się do pracy nad swą ostatnią operą – Turandot.

W roku 1924 jest w pełni sił, czuje się doskonale, jedynie przeszkadza mu „coś w gardle", mimo to pali swoje czterdzieści Abdulachów dziennie, intensywnie pracując nad wykończeniem Turandota. Wreszcie pod wpływem nalegań żony i syna, zwraca się do lekarza specjalisty we Florencji. Diagnoza brzmi: rak gardła – oznacza to wyrok śmierci. Jedynie syn zna prawdę.

W listopadzie tegoż roku Puccini poddaje się operacji u specjalisty w Brukseli, następnie naktuciom igłami z radem. Zabieg trwa trzy i pół godziny. Igły z radem pozostają w gardle tak, że pokarm trzeba podawać przez nos. Pomimo ogromnych cierpień chory uśmiecha się, choć nie może mówić. Rezultat operacji zdaje się być pomyślny, gdy nagle czwartego dnia Puccini pada w swym fotelu – serce nie wytrzymało.

25 kwietnia 1926 roku odbyła się prapremiera Turandot w La Scali. W połowie trzeciego aktu dyrygent odłożył batutę i odwrócił się do publiczności ze słowami: „W tym miejscu kończy się opera Giacomo Pucciniego". Potem powoli kurtyna poszła w dół.

---

chustki do nosa. Dużo! Ile weidzie w kieszeń...

– Wyłaź – powiedział ten czwarty; pomachał żonie ręką, a gdy go wzięli w środek, wprost pod lufy... muszę spróbować – pomyślał – nie każda kula trafia...

Uderzył gestapowca już nad samą wodą. Kiedy tamten padał w śnieg – on zanurzył się w Pilicy i płynął, to znów skakał po krach jak szalony, a kule, co za nim biegły – przeszły obok.

W parę dni potem zdobył nowy Ausweiss; był – jak tam pisało – ogrodnikiem; był nim aż do końca powstania, po którym wywieziony został na roboty do Nadrenii.

W 1945 roku powrócił do kraju, do Podklasztorza w Sulejowie. Miał szczęście. Odnalazł wszystko co naprawdę kochał: żonę, syna i ruiny dawnego opactwa – smutne i opuszczone, jak chyba nigdy dotąd.

Już w pierwszych dniach po powrocie rzucił się Misiurski w wir pracy społecznej. Był przewodniczącym MRN w Sulejowie, członkiem kwartetu wokalnego i dyrygentem dużego, czterogłosowego chóru; założył oddział PTTK zostając równocześnie jego prezesem; uczył w szkole, osiągał znakomite wyniki w szkoleniu partyjnym, pogłębiał swą wiedzę historyczną i marzył, bez ustanku marzył, o wskrzeszeniu historii z podklasztornych ruin.

Tym razem marzenia Misiurskiego stały się materią. Ludowe, biedne jeszcze, poranione państwo wzięło zabytek w ochronę, a Misiurskiego mianowało społecznym, honorowym strażnikiem obiektu, którą to funkcję – mimo nawału pracy – podjął z radością. Pomoc ludowego państwa nie ograniczała się do słów zachęty i wpisywania w pamiątkową księgę pochwał, toteż Misiurski zaczął realizować swój najśmielszy plan: budowę regionalnego muzeum...

Pod gruzami, pod ziemią, w zasypanych lochach i komnatach kryje się skarb. Gdzie? – dokładnie nie wiadomo. Legenda głosi, że dawno temu, na wieść o straszliwym pochodzie Tatarów, mnisi postanowili ukryć kosztowności. Na polecenie opata sprowadzili do klasztoru bednarza, związali mu chustą oczy i powiedli długimi, krętymi korytarzami głęboko pod ziemię. W jednej z przejściowych komnat zdjęli bednarzowi zasłonę z twarzy – zobaczył wtedy siedem dębowych beczek świecących złotem i drogimi kamieniami. Zadaniem bednarza było wzmocnić obręcze beczek. Gdy to zrobił – znowu mnisi zawiązali mu oczy i wywiedli na dziedziniec. W następną noc, poprzez drewniane ogrodzenie wdarli się do klasztoru Tatarzy i nie mogąc wydobyć od ojców tajemnicy skarbów, wybili ich do nogi. Jeden z braci wskazał podczas tortur na bednarza. Zacięty bednarz nie zdradził i został przez Tatarów żywcem zamurowany, a skarby dotąd spoczywają w tajemniczych lochach pod Pilicą.

Czy Misiurski uwierzył legendzie? No, niezupełnie... Jako człowiek praktyczny, przypuszczał jednak – i, jak się miało okazać, nie bez słuszności, że znajdzie pod gruzami skarby daleko cenniejsze – obrazy, monety, zabytkową broń, starodruki i narzędzia. I znalazł. Kazał kopiącym w klasztornej ziemi chłopom sprawdzać każdą łopatę, przesypywać ziemię przez palce. Przesypywali. I oddawali znaleziska. Bez żalu! Bez prób ukrycia! Wierzyli zresztą, iż te prawdziwe, złoto-srebrne cuda też wyjdą w pewnej chwili na powierzchnię. To dawało im niemały doping.

Cuda wprawdzie nie wyszły, ale pewnego dnia 1950 roku odbyło się otwarcie Muzeum Regionalnego, w którego posiadaniu znajdują się eksponaty, zdolne wprowadzić w podziw koneserów z całego świata.

Wstawała też z ruin historia – baszty, kapitularz gotycki, części murów obronnych – ponad dwanaście milionów złotych dało na te cele państwo – i oto dawne opactwo cystersów może znowu pokazać światu swych sześć prastarych wież, o których Zacheusz Misiurski mówi, i zawsze będzie mówił, z szacunkiem i dumą. Warto dodać, że Podklasztorze uchodzi obecnie za jeden z atrakcyjniejszych zabytków świata.

Aby opisać wszystkie uroki Podklasztorza – trzeba by dużo czasu i miejsca. Aby zabytek zwiedzić – wystarczy wsiąść w pociąg lub autobus, co gorąco wam polecam. Aby ukazać różnorodność pracy Misiurskiego – donoszę, iż niezmordowany ten człowiek – oprócz licznych, wymienionych poprzednio funkcji – pisze obecnie pamiętnik, kolekcjonuje gadki, podania i legendy ludowe (część z nich ukazała się drukiem) oraz jak oka w głowie strzeże muzeum...

Znalazł się kiedyś śmiałek, który nie mógł poradzić starym drzwiom i zamkowi, że zaś łupów się spodziewał wielkich, wtargnął do muzeum oknem. Było to chłopisko potężne – recydywista, pijak, furiat w dodatku, bo rozczarowany muzealnym wyposażeniem – pociął bestialsko jeden z siedemnastowiecznych obrazów. Misiurski puścił się za śmiałkiem w pogoń, dogonił furiata gdzieś na odległych polach, obezwładnił paroma chwytami judo i odprowadził na milicję. Zdenerwował się przy tym niesłychanie! Jakby ktoś pokroił mnie samego – kończy zawsze opis tej przygody. – Tak to właśnie czułem. Proszę wierzyć.

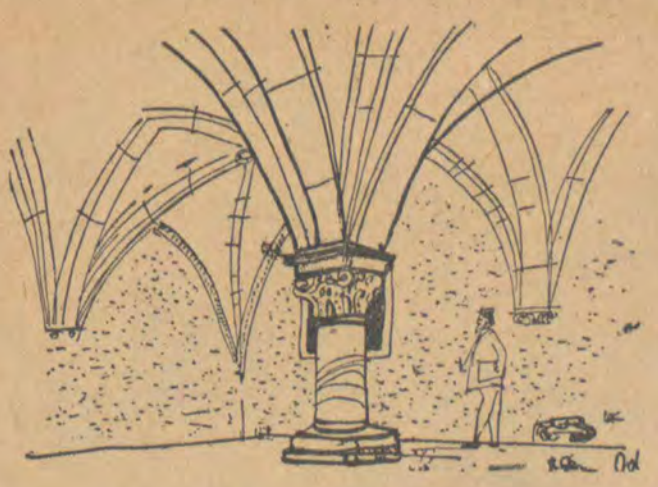

Sulejów – Kapitularz

Rys. W. Kondek

TADEUSZ GICGIER

Karmicielka

Panu Zdzisławowi Pigoniowi

Samochód nawet nie zwolnił, gdy coś się pod nim zakotłowało. Widziałem dobrze ten moment: asfaltowa jezdnia przelotowej ulicy wczasowiska, mokra po deszczu rozbłysła jak lustro, kiedy padły na nią dwa trójkątne płaty świateł samochodu. On dostał się w ten czarny trójkąt po środku, nawet nie próbował uciekać. W pewnej chwili usłyszałem krzyk kobiety, krzyk świdrujący, gdy było już po wszystkim, krzyk przeszedł w jękliwe skomlenie. Potem chłopcy zdjęli go z jezdni i położyli pod parkanem.

Chciałem wyminąć kobietę, ale ta uczepiła się mego rękawa.

— To ja jestem winna — mówiła — ja jestem winna, bo stale za mną chodził, karmiłam go, teraz też biegł za mną po kolacji.

Spotkałem ją w tym samym miejscu nazajutrz rano. Szperała w torebce, wyjęła z niej parę złotych i dała chłopcu, by pochował psa w lesie.

— Nie będzie miał tam takiego nagrobka jak pies prezydenta — powiedziała ni to do mnie, ni to do siebie — ale niech go chociaż przyzwoicie ten chłopak zakopie. Jak pan myśli — chwyciła mnie znów za rękaw — może go przekarmiłam i dlatego nie mógł uciekać? A może krzyknęłam niepotrzebnie i ten krzyk go zgubił?

Obserwowałem kobietę tego dnia przy kolacji. Siedziała przy sąsiednim stoliku z łysym mężczyzną i dwoma starszymi kobietami, ubranymi skromnie lecz schludnie, i tym bardziej raziły jej wymanikurowane palce z odpadającym już, jakby ponadgryzanym lakierem, jej wielkie pierścienie i kolczyki, jej nylonowa, nie pierwszej czystości bluzka. Łysy mężczyzna trzymał w dłoniach sztućce z przesadną elegancją, każdy kęs rozgryzał dokładnie szczękami, trwało to tym dłużej, że starał się to zrobić niewidocznie. Od czasu do czasu włączał się do rozmowy przy stoliku, jego szczęki nie przestawały się poruszać, jego oczy patrzące na twarze kobiet były martwe.

— Co pan tak przygląda się tym Matysiakom? — zagadnął mnie sąsiad od stolika. — Opowiem panu dobry dowcip. Siedzi taka para na ławce w parku. Ona zwraca się do niego: „A ile też pan szanowny ma lat?" On na to: „Siedemdziesiąt". Ona: „Wie pan, nie dałabym panu". On: „Nie szkodzi, nie szkodzi".

W okno jadalni zaskrobał paralityk, wałęsający się po wczasowisku. Zaskrobał po psiemu, kobieta drgnęła i spojrzała w tamtą stronę, ale zaraz odwróciła oczy. Z kuchni wyszła kelnerka i podała paralitykowi przez lufcik kolację na talerzu.

W nocy znowu padało. Szedłem na śniadanie mokrą, pociemniałą aleją minąłem wielkiego żubra odlanego w żeliwie, na ławce czarnej od deszczu zobaczyłem znajomą kobietę. Obok niej kręcił się jakiś kundel. Na razie trzymał się z daleka, zresztą oboje wyglądali na niepewnych siebie. Na mój widok kobieta zmieszała się jeszcze bardziej.

— To wyrachowana bestia — powiedziała chcąc pokryć swoje zmieszanie. — Właściwie powinnam go odpędzić. Kręci się przy mnie, bo chce, żebym podzieliła się z nim śniadaniem. Niech pan popatrzy: ze ślepiów przypomina trochę tamtego.

Młynarzówna

Siedzący na białym kamieniu motyl poderwał się bezszelestnie, okrążył mnie i zatrzepotał skrzydłami nade mną. Machnąłem bezmyślnie trzymanym w ręku kijem — motyl upadł na ziemię i znieruchomiał.

Zrobiło mi się nijako, spojrzałem na siedzącą pod pniem sosny dziewczynę, ale ona patrzyła w inną stronę. Usiadłem obok niej i przyglądałem się zmierzchającemu niebu. Między dwoma gałęziami sosny jaśniał jeszcze jego niewielki skrawek, w górze perłowy, niżej przechodzący w ciemny odcień stali.

Dziewczyna była wyraźnie niespokojna, gniotła w rękach swój długi, ciężki warkocz o barwie dojrzałej pszenicy. To nawet dobre, pomyślałem, ta dojrzała pszenica, w sam raz pasuje do młynarzówny.

Swatano mnie z nią od dawna. Już przed paru laty pisała o niej do matki ciotka mieszkająca w tych stronach. Młyn, wielki sad, tartak, stawy rybne, dwie kamienice w Warszawie. Dostatnie życie, zabezpieczona przyszłość, wejście w szeroki świat. Dla mnie oznaczałoby to dodatkowo — wiedziała o tym dobrze matka — postawienie się z powrotem na nogi, bo zachwiałem się mocno od czasu choroby i ciągle nie mogłem odzyskać równowagi.

Gdy przyjechałem do rodziny na wakacje, poznano mnie zaraz z tą dziewczyną. Już w czasie pierwszego spaceru zrozumiałem, że z tej maki chleba nie będzie. Mimo to spotykałem się z nią dosyć często, po prostu dlatego, że nie miałem tu innego towarzystwa.

Parę kroków od nas rozległ się jakiś szelest. Dopiero teraz spostrzegłem, że jest już zupełnie ciemno, zwisająca nad nami gałąź sosny wyglądała tak, jakby ją umaczano w smole. Ktoś szedł na przełaj przez las, dwa kroki od miejsca w którym siedzieliśmy, zamajaczyła nagle wysoka postać mężczyzny. Mężczyzna zatrzymał się spojrzał niepewnie w naszym kierunku, bardziej chyba wyczuwając niż widząc naszą obecność — i poszedł dalej.

— To ojciec... — powiedziała cicho młynarzówna. Czułem, jak dygocze w ciemności. — Jak pan myśli, czy nas zauważył?

Starałem się ją uspokoić, ale sam byłem podminowany. Głupia historia. Po co właściwie zasiedzieliśmy się do nocy w tym lesie...

— Muszę już iść do domu — odezwała się nagle dziewczyna. — Czy pan mnie odprowadzi?

— Oczywiście. A jeśli pani ma mieć jakieś przykrości, gotów jestem porozmawiać z ojcem.

Na kolację podano wędliny własnego wyrobu i dużo różnych ciast. Matka dziewczyny posadziła mnie przy sobie i stale zachęcała do jedzenia.

— Czemu nie smaruje pan ciasta masłem — spytała mnie w pewnej chwili.

Bąknąłem coś pod nosem, ale ciasta nie posmarowałem. Po kolacji wyszliśmy wszyscy przed dom, dziewczyna, jej rodzice, dwaj starsi bracia. Ciągle myślałem o obietnicy danej młynarzównie, byłem na siebie zły i jak zwykle wtedy przygnębiony. Że też coś takiego przyszło mi do głowy!

Aby nie przeciągać stanu wewnętrznego utrapienia, zdobyłem się na odwagę i wykrztusiłem do młynarza, że chcę z nim zamienić parę słów na osobności.

— Wie pan, córka jest przerażona, że pan może pomyśleć o niej coś złego — powiedziałem do młynarza, gdy stanęliśmy na grobli między dwoma stawami. — Ja jutro wyjeżdżam, więc chciałem wyjaśnić, że tam w lesie między nami nic nie było.

Nie patrzyłem na twarz młynarza, on milczał niepokojąco długo, wreszcie powiedział:

— Wszystko w porządku, nie ma o czym mówić. Chodźmy podprowadzę pana do szosy. Będzie pan miał dalej niż przez las, ale za to droga pewniejsza.

Dziewiąta głowy nie zaprząta

Podszedłem z karafką do stryja, stryj drgnął się chwilę, ale odwrócił kieliszek, który stał do góry dnem. Wróciłem na swoje miejsce, gwar wzmógł się, jedni przekrzykiwali drugich.

— Stoimy tak przed bramą fabryki, dwa pułki piechoty, po bokach ruscy oficerowie. A ta brać ruszyła hurmem w stronę bramy. Ja byłem chłop rosły, stałem pierwszy przy bramie, wszystko dobrze widziałem. Jeszcze teraz trzymam się prosto, niech pani patrzy...

Stryj stał nad stołem, zrobiło się nagle cicho.

— A ci idą i odpinają na piersiach kożuchy...

Stryj rozpiął samodziałową marynarkę, której obydwie klapy były gęsto upstrzone odznaczeniami.

— Nu, koli, brat! — krzyknął nad uchem swej sąsiadki.

Kiedy o piątej odezwał się dzwonek, wyszedłem z łazienki, nie wytarłszy nawet twarzy po goleniu. Wiedziałem, że to stryj dzwoni. Stał we drzwiach w swym zimowym, miejscami wytartym, pokrytym czarnym suknem kożuchu, w którym zdawał się być jeszcze dłuższy i jeszcze bardziej kościsty. Przypominał mi zawsze w tym kożuchu dziadka, miał z nim zresztą wiele wspólnych cech zewnętrznych, natomiast wewnętrznie różnił się w sposób zasadniczy: dziadek, jak to już gdzieś wspomniałem, był małomówny i mrukliwy, czego nie dałoby się w żadnym wypadku powiedzieć o stryju. Nie wiem, co ich kiedyś poróżniło, dość, że na skutek tego antagonizmu stryja poznaliśmy dopiero po śmierci dziadka. Być może, że stryj odczuwał coś w rodzaju wyrzutów sumienia z powodu tamtych niesnasek rodzinnych, w każdym razie często odwiedzał teraz bliską rodzinę dziadka, mnie zaś w szczególności. „Przywykłem do was — mawiał. — Jak ktoś się przyuczy, to śpi i mruczy."

Wprowadziłem stryja do pokoju i włączyłem telewizor, proponując, by obejrzał sobie kawałek programu. Stryj chętnie przystał na tę propozycję, zaraz jednak, przekrzykując głos spikera, zaczął opowiadać o swym zegarku, nie przeszkadzało mu przy tym wcale, że wróciłem do łazienki.

— Widzisz, to jest mój pierwszy zegarek w życiu. Dostałem go od ojca, gdy brali mnie do ruskiego wojska w dziewięćset czwartym. Miałem wtedy dwadzieścia lat...

Wychyliłem nos z łazienki, stryj trzymał w ręku grubą, poczerniałą „cebulę", mocnym naciśnięciem kciuka otworzył górną kopertę. Zobaczyłem pożółkłą tarczę zegarka z rzymskimi cyframi i ozdobnymi wskazówkami. Wróciłem do golenia.

— Mam go już sześćdziesiąt lat, a był dopiero raz u zegarmistrza. Dziś go odebrałem. I wiesz, co powiedział zegarmistrz?

Stryj zaśmiał się.

— Że będzie mi teraz służył aż do śmierci...

Stryj siedział na swym honorowym miejscu pośrodku stołu. Przez biesiadny gwar dolatywały mnie strzępki jego opowieści, kierowanej do młodej, krągłej brunetki, która mogłaby być wnuczką stryja. Chyba ta właśnie świadomość pomagała stryjowi, że zawsze na powitanie całował ją siarczyście w oba policzki. Teraz opowiadał jej szeroko o nadzwyczajnym wyróżnieniu, jakie spotyka go w Domu Rencistów. Znałem dobrze tę opowieść, słyszałem ją już wiele razy. Kierownik Domu Rencistów kupuje każdego rana dwie gazety, jedną dla siebie, a drugą dla stryja. Tę drugą kładzie zawsze na stoliku w jadalni, przy którym siada stryjek. „Wszyscy wytrzeszczają oczy, a on podchodzi i kładzie tę gazetę przede mną..."

Ułożyliśmy stryja do snu w moim pokoju. Nie było rady, stryj zasypiał już na krześle, choć głosy przy stole mogłyby obudzić umarłego. Kiwał się przy tym jak kozak drzemiący na koniu. Porównanie o tyle trafne, że podchodził kiedyś nocą takiego kozaka. Było to w dziewięćset piątym, po powrocie stryja z Charkowa do Łodzi.

— Dziewiąta głowy nie zaprząta, jedenasta pora wychodzić do miasta — mruczał stryj pod nosem, gdy ubranego w piżamę prowadziłem go do tapczanu.

HORACY SAFRIN

Nowe wiersze o Herszlu z Ostropola

HERSZEL-KAZUISTA

W małym miasteczku — gdzieś na Białorusi —
znowu w dzień postu szatan Herszla kusi.

Znów go zastano w knajpie przy obiedzie,
znów go tłum wiernych do rabina wiedzie.

Grzmi nań duszpasterz: „Bezecny grzeszniku!"
Lecz kpiarz nie daje zbić się z pantałyku.

„Rabbi! — zagadnie w sposób tajemniczy. —
Czy nakaz postu chorych też dotyczy?"

„Nie!" — brzmi odpowiedź. „Mówiąc więc po prostu,
ten, co choruje, wolnym jest od postu...

I jak wam nie wstyd takiej zawziętości?!
Nie to was boli, że Hersz dziś nie pości.

Ale was gnębi — w oczy wam to powiem —
że się w dzień postu cieszy dobrym zdrowiem!"

HERSZEL — WDOWIEC

Herszel wbiegł do kahału z twarzą zapłakaną:
„Biada! Cios najstraszliwszy spadł na mnie dziś rano!
Moja żonka — kochana, poczciwa starucha —
przed niespełna godziną wyzionęła ducha...".

Wnet otacza go Żydów współczujących rzesza,
a rabbi świątobliwy mądrze go pociesza:
„Zmarła? Tak się widocznie podobało niebu!"
I daje mu pięć rubli na koszty pogrzebu...

Pod wieczór szames wchodzi do herszlowej chatki
i nie wierzy swym oczom: w blasku świec przy stole
siedzi kpiarz, obok niego małżonka i dziatki,
a przed nim — flacha wódki i kura w rosole.

„Ach, ty kłamco, oszuście, łotrze, nikczemniku!!!"
Hersz podnosi nań oczy naiwne, dziecięce:
„Po cóż pośpiech ten, kumie? Ona i bez krzyku
przecież wcześniej czy później wpadnie w wasze ręce!"

Nad czym pracują pisarze

KONRAD FREJDLICH

W najbliższym czasie ukaże się trzecia podpisana przeze mnie książka i zarazem pierwsza książka, którą mogę uważać za własną. Może jestem niesprawiedliwy wobec wcześniejszych prób, może ten brak więzi z nimi bierze się właśnie stąd, że zmieniła się moja sytuacja rodzinna, że jestem już teraz tym, który sam rodzinę stworzył, a nie tym, dla którego ją stworzono, ale dopiero powieść „Miary" wydaje mi się bliższa mym pragnieniom i tęsknotom. Byłem bowiem debiutantem szczególnym, debiutantem bez biografii, co najwyżej z tzw. literacką biografią, a ta, cóż, obejmuje zaledwie 6 lat, bardzo niewiele. Choć z drugiej strony pewnie dlatego pisanie pozwala mi rozumieć moją sytuację jako człowieka, właśnie ten przysłowiowy „los człowieczy", a moje doświadczenie pisarskie jest jednocześnie moim doświadczeniem życiowym.

Staram się to doświadczenie nieustannie wzbogacać zabierając się do prac, których nigdy jeszcze nie wykonywałem, dlatego na przykład dałem się namówić na „Pitaval łódzki", którego „ojcem chrzestnym" jest niewątpliwie redaktor naczelny „Odgłosów", dlatego też w najbliższym czasie zabieram się do pisania dramatu, w oparciu o archiwalne szperania, i teraz gromadzę siły. Znaleźć chwilę wytchnienia na realizację nowego pisarskiego pomysłu, to nie jest dla mnie prosta sprawa, mam bowiem sporo obowiązków redakcyjnych i rodzinnych, a także zobowiązań wobec prac rozpoczętych wcześniej, które już w zasadzie ukończyłem, ale trzeba im przydać jeszcze szlif ostateczny, a przede wszystkim przepisać. Miesiącami przepisuję gotową książkę reportaży dla „Iskier" od miesięcy też staram się postawić ostatnią kropkę w powieści o egzotycznym dla mnie środowisku robotniczym, nawet przepisywanie wierszy idzie mi opornie, bo zawsze przecież może znaleźć się coś, co należałoby poprawić, zmienić. Najbliższy publikacji jest mój nowy tom wierszy pt. „dorzecze" i oczywiście powieść „Miary", która wyjdzie z druku za miesiąc.

ALEKSANDER POSTOŁOW

WSPOMNIENIE O MARIANIE MINICHU

Należę do generacji, której los nie poskąpił burzliwych wydarzeń, wojen, widoku zniszczeń, ofiar ludzkich. Kiedy zatem w chwilach zadumy wracam myślą do dawnych lat, wspomnienia roją się od postaci dziś nieżyjących, niegdyś bliskich mi ludzi. Z mijaniem lat galeria cieni wzrasta a pamięć, jak filtr, przekazuje nieraz już tylko kontury, jak gdyby syntezę postaci. Wynurzają się z niej znane także ogółowi łodzian postacie Karola Hillera, Przecława Smolika, Grzegorza Timofiejewa i innych. Nie mogę jeszcze zaliczyć do tej galerii dra Mariana Minicha, zbyt świeża bowiem jest jeszcze ta strata, zbyt trudno mi uwierzyć, że ten dynamiczny, tryskający energią i żywotnością człowiek, z którym przez wiele lat łączyły mnie więzy głębokiej przyjaźni, przekroczył brzegi Rzeki Milczenia. Śmierć jego zaskoczyła nie tylko mnie, toteż jest częstym tematem rozmów ze znajomymi. Nic zresztą dziwnego. Twórca Muzeum Sztuki w jego obecnej postaci z najbogatszą w Polsce galerią malarstwa nowoczesnego wywierał silny wpływ na życie kulturalne naszego miasta. Marian Minich przybył do Łodzi jeszcze w roku 1935, obejmując kierownictwo Muzeum Historii i Sztuki im. Bartoszewiczów. Czym były ówczesne zbiory Bartoszewiczów, mieszczące się w kilku pokojach dzisiejszego Archiwum Wojewódzkiego, mówi on sam w swojej napisanej z pasją „Szalonej galerii". Znajduje się tam obraz środowiska artystycznego ówczesnej Łodzi, miasta rozdartego głębokimi sprzecznościami i konfliktami społecznymi, których odgłosy w groteskowej nieraz formie znajdowały swój wyraz w posiedzeniach Rady Miejskiej, opisywanych z humorem w tejże „Szalonej galerii".

Nieliczna warstwa inteligencji i towarzyszące temu nikłe życie kulturalne nie wróżyły początkom podejmowanej przez Minicha pracy rychłych ani też znacznych owoców. Przeniesiony z innego środowiska, ze Lwowa, szybko aklimatyzuje się w Łodzi i z cechującą Go pasją stara się propagować sztukę w szerszych kręgach naszego społeczeństwa. Zdobywa fundusze, kupuje „Portret" Matejki, „Matkę" Rodakowskiego, rzeźby Pronaszki, obrazy Olgi Boznańskiej, Apoloniusza Kędzierskiego, Jankla Adlera i innych. Aż podziw bierze, ile energii musi zużyć ten człowiek, aby pokonać obojętność czasem wręcz niechęć ówczesnych władz sanacyjnych dla zdobycia niemałych przecież funduszów, niezbędnych dla uzupełnienia galerii. Już wtedy łączy Go zażyła przyjaźń z postępowymi krę gami plastyków naszego miasta, zwłaszcza zaś z Karolem Hillerem, którego poglądy lewicowe były bliskie Minichowi. Już wtedy marzy o jak najszerszym upowszechnieniu sztuki, prowadzi wykłady dla robotników i z tego też punktu widzenia traktuje całość ekspozycji. Tu trzeba powiedzieć, że był twórcą nowoczesnej koncepcji muzealnictwa — w miejsce tradycyjnego zbieractwa — ukazywania w sposób poglądowy historycznego rozwoju danej dziedziny, w tym wypadku sztuki. Już wtedy upatruje przyszłość Galerii łódzkiej w ekspozycji sztuki nowoczesnej, wykorzystując w tym celu oddaną miastu w depozyt przez Grupę a. r. kolekcję międzynarodowej sztuki nowoczesnej. Zawierała ona ponad 70 eksponatów wybitnych artystów, a m. in. obrazy Jean Arpa, Leona Chwistka, Tytusa Czyżewskiego, Karola Hillera, Katarzyny Kobro, Ferdynanda Legera, Henryka Stażewskiego, Władysława Strzemińskiego, Stefana Wegnera, Stanisława Ignacego Witkiewicza, Pablo Picassa, Luis Marcoussis, Amédée Ozenfant i in. Wojna niszcząc znaczną część zbiorów, stanowi tragiczną cezurę w działalności Minicha, lecz już w pierwszych miesiącach wyzwolonej Łodzi spotykamy znów Minicha, zatroskanego, zabieganego, zbierającego i zabezpieczającego resztki rozgrabionych przez okupanta zbiorów, rewindykującego je z niesłychaną energią nieraz spod linii frontu, często z rąk prywatnych, wykorzystującego każdą szansę dla zorganizowania w Łodzi nowoczesnej galerii sztuki. Tym razem nie musi przełamywać niechęci władz. Rewolucja zaorała uprzedzenia i bariery kastowe, Łódź przestała być „złym miastem" dla ludzi kultury i sztuki. A jednak w tych trudnych latach, poświęconych walce o zaspokojenie elementarnych potrzeb szerokich mas, jakże nieważkie musiały wydawać się problemy, z którymi borykał się Minich. Ile energii musiał zużyć na zdobycie gmachu, rewindykację obrazów, niezbędny remont, ba, nawet na zdobycie i wyszkolenie współpracowników, oczywiście także na zabezpieczenie ich bytowych warunków. Tylko dzięki niespożytej energii starczyło mu jeszcze czasu na wykłady, które prowadził w Szkole Teatralnej, i na napisanie naukowej monografii o Andrzeju Grabowskim. Później przyszły trudne lata pięćdziesiąte i jakże częste konflikty na tle zbyt wąsko rozumianego realizmu w sztuce, wreszcie zatargi z centralizmem warszawskim, walka o „Matkę" Rodakowskiego, wygrana dzięki poparciu wszystkich władz i niemal całego społeczeństwa łódzkiego. Doskonale panujący nad sobą, w gruncie rzeczy pasjonat, wkładał bez reszty swe serce w powierzoną Jego pieczy galerię. Minicha poznałem wkrótce po wojnie, tryskającego energią, żywotnością, właśnie w okresie, kiedy Muzeum otwierało swe podwoje. Nie był człowiekiem łatwym w obcowaniu. Był jakby zakuty w pancerz nieprzystępczości. Apodyktyczny z natury, ironiczny, a nawet bezlitosny w argumentacji, często ranił rozmówców. Przyjaciół zdobywał z trudem, zresztą sam z trudem zbliżał się do ludzi i tylko wobec najbliższych zrzucał z siebie pancerz, spod którego wynurzał się romantyk, idealizujący ustawicznie ludzi i życie, obolały ilekroć zetknął się z cudzą podłością i brutalnością, jak ślimak we własnej obronie zamykał się w skorupie pozornej obojętności. Dla przyjaciół potrafił być serdeczny, nawet tkliwy, troskał się o zdrowie, był wrażliwy na ich niepowodzenia, czasem klęski życiowe. Ileż to złudzeń rozwiało mu życie, iluż upokorzeń doznał ten dumny w istocie swej człowiek! Nie raz zwierzał mi się, że najwięcej ciepła i zrozumienia doznaje w obcowaniu z prostymi ludźmi, tam przynajmniej nie ma fałszu i obłudy, tam uczucie jest niekłamane. Ostatni raz odwiedziłem Minicha na tydzień przed śmiercią. Nie lubił obnosić się z fizyczną słabością. Już od kilku lat rzadko wychodził poza Muzeum i rzadko zapraszał do siebie. Byłem zdumiony zmianami, jakie zaszły, choroba dawała znać o sobie. Ale gdy mówił o Muzeum, o swoich planach na przyszłość, oczy jego pałały jak dawniej. Wspominał także o znajomych. Pod koniec rozmowy zatroskał się — nasz wspólny znajomy uległ lekkiemu zresztą wypadkowi ulicznemu i leżał w szpitalu: — „Muszę zadzwonić, może mu coś trzeba, jest przecież sam, bez rodziny". Tak go zostawiłem, stroskanego, skłopotanego, nie spodziewającego się rychłej śmierci. Taki mi zostanie w pamięci: pasjonat, człowiek ambitny, ustawicznej walki, zamknięty w sobie, a wewnątrz człowiek z gruntu dobry, tkliwy i serdeczny, szlachetny fantasta i marzyciel.

KSIĄŻKI Waldemara BABINICZA

W czasie czytania najnowszej powieści Waldemara Babinicza, przychodziła mi na myśl włoska pisarka Natalia Ginzburg. Ponieważ czytelnik nie ma obowiązku wiedzieć, kto zacz owa Natalia Ginzburg, najpierw kilka słów o niej samej. Natalia Ginzburg jest autorką kilku książek, o których coraz głośniej w Europie. Za jedną z nich otrzymała najważniejszą nagrodę literacką Włoch tzw. Premio Strega. Obecnie ukazała się jej nowa pozycja „Mój leksykon rodzinny", przetłumaczona już na kilka języków obcych. W wywiadzie udzielonym jednemu z dziennikarzy Natalia Ginzburg powiedziała między innymi: „Miejsca, osoby i wydarzenia, opisane w tej książce, zgodne są całkowicie z rzeczywistością. Niczego nie wymyśliłam, a zawsze, ilekroć coś wymyślę, odczuwam natychmiast nieprzepartą potrzebę, aby to, co wymyślone, skreślić".

„Rówieśnicy" Waldemara Babinicza są powieścią wymyśloną w równym stopniu przez autora, co i przez samo życie. Nie jest to pierwsza jego pozycja, zalecająca się walorami autentyzmu. Waldemar Babinicz, od lat dyrektor Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy, obok pracy społecznej i oświatowej uprawia równolegle swój zawód pisarski. Dzięki temu, że mieszka na wsi i na co dzień styka się z młodzieżą i dorosłymi, jego wiedza o powojennym życiu kraju jest rzetelna i bogata. Babinicz mógłby tą wiedzą obdzielić kilku co najmniej pisarzy "miastowych", cierpiących na uwiąd wiedzy o współczesnej Polsce.

„Rówieśnicy" to już dziesiąta z kolei książka beletrystyczna Waldemara Babinicza. Przedtem były takie rzeczy jak „Zapalone pochodnie" (1954), „Ekipa" (1955), „Szeroki świat" (1955), „Przygoda w świetlicy" (1956), „Listy z parafii" (1959), „Apostołowie" (1960), „Złota woda" (1961), „Obecny" (1962) i „Za ścianą" (1963). Akcja wszystkich wymienionych wyżej utworów dzieje się na wsi lub w małym miasteczku, a czasem akcji w każdej z nich — współczesność, wczorajsze i dzisiejsze sprawy życia po wojnie. A i pejzaż mniej więcej ten sam — miły sercu mojemu pejzaż ziemi kieleckiej, okolice Gór Świętokrzyskich, ów pejzaż, którego tak wiele u znakomitych poprzedników Babinicza — Żeromskiego i Dygasińskiego. Wspomnijmy jeszcze (dla porządku), że przed laty Babinicz redagował miesięcznik „Ziemia Kielecka", gdzie udało mu się skupić wszystkich wiernych i marnotrawnych synów Kielecczyzny.

„Rówieśnicy" to powieść o kolejarzach. Chociaż recenzent „Życia Literackiego" podgrymaszał nieco na jej temat, uważam, że nie ma on racji. „Rówieśnicy" są nie tylko dobrze pomyślani, ale i dobrze zrealizowani artystycznie. Można by rzec, że akcja tej powieści umiejscowiona została w pociągu, ściśle biorąc — w przedziale pociągu na trasie Sędziszów — Kielce, który to pociąg przez dwadzieścia lat ani razu się nie spóźnił. Przyznajcie, że pomysł to kapitalny i bardzo filmowy. Jestem przekonany, że wcześniej lub później zainteresuje się tą powieścią jakiś realizator filmowy, szukający materiału do dobrych i ciekawych scenariuszy. Osób czyli bohaterów, występujących w „Rówieśnikach", jest wiele, ale na czoło wysuwają się przede wszystkim konduktor Bazyli Szypułka i jego dwoje dzieci (bliźnięta), które jeżdżą codziennie do szkół. W przedziale pociągu koncentruje się życie gromadki ludzi, którzy przez lata całe spotykają się z sobą dwa razy na dzień, którzy znają się bardzo dobrze, a przecież zawsze mają sobie coś nowego do opowiedzenia. Ten przedział kolejowy to mikrokosmos, symbolizujący i odbijający w sobie życie osady, życie kraju.

Napisana jest ta książka świetnie. Mam na myśli zarówno dobrze narysowane charaktery, zwięzły i plastyczny opis krajobrazu, a zwłaszcza doskonałe dialogi, które u Babinicza, jak zresztą w każdym udanym utworze literackim, spełniają funkcję podwójną: popychają akcję do przodu i uwierzytelniają środowiskową prawdę postaci. Powiedziałem już kiedyś i będę powtarzał przy każdej okazji: pisarz, który nie potrafi konstruować dialogów, nie jest pisarzem. I na nic się tu nie zda gadanie, że można napisać powieść bez dialogów. Owszem można, ale po co?

Książka jest wtedy dobra, kiedy za jej opisami, dialogami, spostrzeżeniami, kiedy, mówiąc krótko, poza jej warstwą słowną kryje się niesformułowany, ale wszechobecny nastrój czasu, ów duch utworu, tworzący jego podtekst i zaplecze. Waldemar Babinicz pisze: „Znam na tej trasie wszystkie strumyki, krzaki, kwiaty, chwasty, wszystkie krowy i gąski, które pasą się lub pasły na łące między Miąsową i Sobkowem, dostrzegałem każdy ubytek, każdy przyrost, umiem z zamkniętymi oczami powiedzieć, gdzie pociąg zwolni biegu na skutek niepewnych, zbutwiałych podkładów kolejowych, bez zegarka wiem, kiedy zatrzyma się przed Sitkówką, kto wysiądzie o godzinie 7.05 w Słowiku, jak pożegna zawiadowca stacji Słowik, swoją żonę, która jest starszą księgową w spółdzielni rymarskiej, wiem, że człowiek wsiadający w Radkowicach sprawdza dokładnie garderobę błyskawicznym pociągnięciem ręki i zawsze znajduje ją w nieładzie". Słowa te wypowiada narrator. Za słowami tymi kryje się nie tylko znajomość ziemi i ludzi. Za słowami tymi kryje się miłość ziemi i ludzi. I w tym widzę najpiękniejszą cechę powieści „Rówieśnicy" i wcześniejszych książek Waldemara Babinicza. Oczywiście sprawdziany powyższe nie są modne w naszej krytyce literackiej. Ale pociesza mnie jedno: modne kapelusze, które dziś noszą wszyscy, jutro znajdą się na strychu.

Jan Koprowski

Henryk Płóciennik. Grafika

PÓŁKA z książkami

EPITAPHIUM REINHOLDI PATKULI

Ukazała się niezwykle ciekawa książka Tadeusza Łopalewskiego pt. „Brzemię pustego morza". Autor wydanych uprzednio i cieszących się popularnością kilku książek m. in. „Tylko ludzie" i „Kaduk, czyli wielka niemoc" — w swej nowej powieści przedstawia dzieje Reinholda Patkula, szwedzkiego kapitana, który przeszedł na stronę polską i walcząc w wojnie szwedzko-polskiej otrzymał stopień generała.

Tragiczne losy tego uzdolnionego wodza, przyjaźniącego się z carem Piotrem I, królami polskimi Leszczyńskim i Augustem II, wreszcie ściętego przez Karola XII, oraz jego nieszczęśliwej i pięknej miłości są pasjonujące.

Książka napisana pięknym stylem, postacie narysowane przekonywająco, a epoka, w której rozgrywa się akcja, przedstawiona jest barwnie i wnikliwie.

Powieść ta zainteresuje niewątpliwie szeroki krąg czytelników, a dla tych, którzy lubią historię, będzie uzupełnieniem wiedzy o stosunkach polsko-szwedzkich.

Książka została starannie wydana przez Wyd. Czytelnik; z pomysłową obwolutą i okładką Mariana Stachurskiego.

E. I.

Tadeusz Łopalewski: „Brzemię pustego morza". Wyd. Czytelnik. Rok 1965. Str. 392. Cena 22 zł.

WRÓŻKA „MALHEUREUX"

Kazimierz Konarski, naukowiec, b. prof. Uniwersytetu Warszawskiego, b. dyrektor Archiwum Akt Dawnych, historyk archiwistyki, dał się poznać jeszcze w okresie międzywojennym jako autor poczytnych książek dla młodzieży, tłumaczonych na język rosyjski, czeski i włoski.

Ten, dziś 79-letni pisarz, dokonał bilansu swego długiego życia, w wyniku czego powstała obszerna powieść biograficzna pt. „Dalekie a bliskie" z charakterystycznym podtytułem: „Wspomnienia szczęśliwego człowieka".

Na próżno szukalibyśmy wątków sensacyjnych — życie nie zawsze musi być bogate w niecodzienne wydarzenia. A codzienność niekiedy przewyższa fantastykę!

Jak wyznaje sam autor, przez życie wiodła go sympatyczna (wbrew nazwie) wróżka „Malheureux", pomagając szczęśliwie przeżyć obie wojny światowe, okupację oraz powstanie warszawskie. Obecnie, w ciszy gabinetu, ten sędziwy pisarz żyje wspomnieniami.

W swej powieści-pamiętniku Konarski opisuje ludzi, których spotykał, z którymi współpracował oraz minioną epokę, o której ciągle wiemy za mało. Książka została napisana stylem gawędziarskim, dygresjami rozwlekłe, lecz w sumie ciekawie. Miłośnicy lektury narracyjno-wspomnieniowej będą ją czytać z przyjemnością.

E. I.

Kazimierz Konarski: „Dalekie a bliskie". Wyd. Ossolineum. 1965 r. Stron 528. Cena 60 zł.

„WRZESIEŃ POD ALPAMI"

Otrzymaliśmy bardzo ciekawą książkę, w której Roman Jasiński opisuje bezsens walki wrześniowej, rozczarowanie i tułaczkę polskiego żołnierza. W tej książce, bogatej w autentyczne wydarzenia, śledzimy tak dobrze znaną nam drogę klęski polskiego oręża w 1939 roku, udział Polaków w walkach we Francji, internowanie ich w obozach w Szwajcarii i współpracę z francuskim Ruchem Oporu. Zajmowano się przerzutami grup uciekinierów z jenieckich obozów w Niemczech i umożliwiano im dostanie się do walczących na Zachodzie szeregów.

Z wielką sympatią pisze autor o gen. Sikorskim, który dokonał inspekcji ich oddziału w miasteczku Thenezary, oraz o swoich kolegach, z którymi odbywał tułaczkę na obczyźnie.

Jest to jeszcze jeden przyczynek do ciągle żywych tradycji stosunków polsko-francuskich.

Autor nie jest zawodowym literatem. Pracuje jako leśnik od kilku lat na Śląsku. Przed wojną był zatrudniony w Parku Narodowym w Białowieży.

Książka została przyjemnie wydana przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, a jej wartość dokumentalną podnoszą zdjęcia zamieszczone w tekście. Opracowania graficznego dokonał Jan Bokiewicz.

E. I.

Roman Jasiński: Wrzesień pod Alpami. Wyd. L.S.W. 1965 r. Stron 184. Cena 16 zł.

Jesienny portret — fot. E. Haneman.

MACIEJ WYSOCKI

Haneman w Kordegardzie

W dniach 15—22 lipca odbyła się w warszawskiej Kordegardzie — salonie Ministerstwa Kultury i Sztuki — retrospektywna wystawa fotografiki Eugeniusza Hanemana, o którego twórczości pisaliśmy ostatnio na łamach „Odgłosów".

Mieszkający obecnie w Łodzi artysta, urodził się w 1917 roku w Warszawie. Jak powiada w swym „fotograficznym życiorysie", przedstawionym do wglądu zwiedzających wystawę — już od najwcześniejszych lat, rzec by można — od wieku niemowlęcego — miał nieprzeparty, „jakiś dziwny" pociąg do aparatów fotograficznych. Tak się jednak złożyło, że pierwszy własny aparat otrzymał dopiero w 1931 roku. Odtąd miłość Hanemana do fotografii trwa nieprzerwanie.

Zaraz po wyzwoleniu Haneman wziął rozbrat z fotografią artystyczną na rzecz filmu. Pracował w wytwórniach Krakowa i Łodzi jako operator. Jednak stara miłość nie rdzewiała — tęsknota za dawną formą twórczości narastała...

W 1953 roku Haneman zaprzestał pracy operatora filmowego i wrócił do fotografii, którą z wielkim powodzeniem uprawia do dziś. Od dłuższego czasu Haneman pracuje w Zakładzie Fotografii przy Państwowej Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi. Praca ta pozwala mu na doskonalenie warsztatu twórczego oraz przekazywanie swych doświadczeń utalentowanej młodzieży.

Z dziedziny fotografiki artystycznej Haneman upodobał sobie szczególnie krajobraz i portret. W ostatnim czasie wzrosło także jego zainteresowanie reportażem.

Każdego ze zwiedzających wystawę Hanemana musiało uderzyć bogactwo nastrojów oraz szeroka gama tematów utrwalonych na kliszy. Bardzo często operuje artysta kontrastem a ekspresja wyzwolona z kontrapunktowych zestawień — ogromnego statku z trójką małych dzieci, dorożek z rzymskimi kolumnami, czy też sylwetki ludzkiej z perspektywą pustyni — przemawia do odbiorcy najsilniej.

Na uwagę zasługuje także poetyka fotografii Hanemana. Okręt-widmo oglądamy przez oczy sieci rybackiej; zdeformowane, jakby odbite w bieżącej wodzie, wykoślawione oczodoły okien ukazał artysta poprzez nierówności szkła; zaczarowany las przywodzi na myśl symboliczną poezję, inne zaś przetworzenie rzeczywistości w „Mackach" pozwala odbierać drzewa jako ramiona ośmiornic.

Największym jednak osiągnięciem Hanemana jest odkrycie poezji maszyn. Kombinacja dźwigów w obrazie „Dzisiejsze ichtiozaury" — to chyba najpiękniejsza kompozycja techniczna jaką do tej pory miałem możność podziwiać.

Na plakacie — wystawę fotografiki Eugeniusza Hanemana poprzedzał przymiotnik: „retrospektywna". Zapewne nie sama technika retrospekcji skłoniła autora do takiego właśnie sformułowania hasła. Retrospekcję znajdziemy tu także w układzie tematycznym obrazu. Retrospekcją dla wesołego portretu z bródką może być utrwalony na zdjęciu z 1944 roku „Powstaniec warszawski", lub fotografia zatytułowana „Pamiętamy" — przedstawiająca fragment pomnika z Radogoszczy.

Haneman jest twórcą wrażliwym i niezwykle komunikatywnym. Jego eksperymenty w dziedzinie fotografii kolorowej — której ze względu na kompozycję wystawy, w Kordegardzie nie zaprezentował — oraz stosowanie przeróżnych technik — winny przy tej wrażliwości przynieść z czasem jeszcze wspanialsze efekty.

KRONIKA Antytelewizyjna

A MOŻE TO NIEPRAWDA?

Na głośną sztukę Johna Osborne'a „Miłość i gniew" czekałem ze zrozumiałym zainteresowaniem, tym więcej, że nie widziałem jej przedtem na scenie i nie czytałem tekstu. Zaczęło się bardzo niepomyślnie, bo najpierw nie można się było doczekać połączenia ze Szczecinem (skąd sztukę nadawano), a potem co chwila pojawiały się plansze z napisem: „Zakłócenia. Prosimy nie regulować odbiorników". Mój Boże, obiecują nam podróż na Księżyc, a nie potrafią zapewnić dobrego odbioru sztuki, nadawanej ze Szczecina, z odległości w każdym razie bliższej niż z Księżyca. Prelegent, zapowiadający przedstawienie, oświadczył, że „Miłość i gniew" to jedna z najgłośniejszych sztuk Osborne'a i że chodzi w niej o bunt przeciwko konwencjom świata mieszczańskiego. I rzeczywiście... Na scenie siedzi młody człowiek z przyjacielem, czyta gazetę i dość często w ordynarny sposób wymyśla swojej żonie, która w kącie pokoju prasuje. Wymyślanie i odzywki jego są tak okropne i na takim poziomie, że po pierwsze: człowiek się dziwi, jak taka młoda i ładna dziewczyna może z nim wytrzymać, a po drugie: co to ma wspólnego z jakimkolwiek buntem społecznym. To nie żaden bunt, tylko po prostu widzimy troglodytę i chamusia na scenie, próżniaka i nieroba, który wyżywa się w niewybrednych wymyślaniach Bogu ducha winnej żonie. Bohaterowi brak elementarnego poczucia taktu, jest, mówiąc językiem ludowym, nieokrzesanym ćwiekiem, i na nic się nie zda dorabianie do jego sytuacji jakiejkolwiek ideologii, bo to tylko obraża ideologię. Czy Osborne chciał przez swoją sztukę udowodnić, że kobieta może kochać łajdaka? Ależ zrobiono to już na długo przed nim i w dodatku znacznie lepiej i ciekawiej. Tak jak rzeczy stoją, bohater pożal się Boże „Miłości i gniewu" pokazany jest w sposób prymitywny i niesmaczny. A może to nieprawda, że „Miłość i gniew" jest sztuką dobrą? Może wmówiliśmy to sobie i boimy się powiedzieć, że król jest nagi? Odczuwamy coś w rodzaju ulgi, gdy młoda kobieta odchodzi od swego męża, w którym nie dostrzegamy żadnych wewnętrznych dramatów i żadnych protestów społecznych, a jedynie prymitywizm i pożałowania godne gadulstwo. Przy tym wszystkim trzeba powiedzieć, że sztuka Osborne'a grana była całkiem nieźle przez młodych szczecińskich aktorów. Zawsze w takich wypadkach odczuwam radość, że oto na dalekiej prowincji (ponad 600 km od Warszawy) są dobrzy aktorzy. Nie ich wina, że grali w sztuce antypatycznej. Prelegent wprowadzający powiedział, że „Luter" Osborne'a jest jego sztuką najsłabszą, a „Miłość i gniew" — najlepszą. Jestem akurat przeciwnego zdania. Uważam „Lutra" za sztukę znakomitą, a „Miłość i gniew" za gadaninę pozbawioną istotnych treści filozoficznych. Ot jak. Nie udało się też (ale z innych powodów, niż sztuka Osborne'a) nagrane w plenerze na taśmę telewizyjną przedstawienie poczciwych „Skalmierzanek" starego Jana Nepomucena Kamińskiego. Mimo udziału dobrych aktorów (Bielicka, Brusikiewicz, Ziejewski), zawiodła technika. W ogóle trzeba by powiedzieć, że jeśli chodzi o stan techniczny, telewizja nasza pozostawia wiele do życzenia. Programy realizowane są nieczysto, nie precyzyjnie, częste nawalanki dają o sobie znać ku zgrozie i przerażeniu odbiorców.

Na tym tle korzystnie wyróżnił się ostatni program z cyklu „Portrety", poświęcony osobie i twórczości Brunona

Jasieńskiego, autora niezapomnianego poematu o Jakubie Szeli. Audycja była ciekawa, wzięło w niej udział sporo osób, które znały Jasieńskiego bądź się z nim nawet przyjaźniły. Warto podkreślić, że przyjaciel Jasieńskiego z jego lat paryskich, a obecnie mieszkaniec naszego miasta — Stanisław Brucz, opowiedział w tej audycji sporo ciekawych rzeczy o autorze powieści „Palę Paryż" i „Człowiek zmienia skórę", który w latach trzydziestych padł ofiarą czystek stalinowskich.

Tydzień w telewizji zakończył się przyjemnym akcentem. Mianowicie w niedzielę wieczorem wyświetlono zabawną komedię francuską „Alibaba i czterdziestu rozbójników" z niezawodnym Fernandelem w roli głównej. Śmialiśmy się jak na czas niedzielny przystało.

JACEK WIERZBIŃSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Angielski film „System" w reżyserii Michaela Winnera z Oliverem Reed i Jane Merrow w rolach głównych. — Aby skwitować w paru słowach tzw. stronę artystyczną tego dzieła — donoszę, że wszystko zawiodło: zarówno aktorzy, jak reżyser, twórca dialogów — naciąganych, napuszonych, pseudodowcipnych i będących karykaturą rzeczywistości — a także polska wersja tych dialogów.

Poza dwiema scenkami rodzajowymi, tytułową, zrobioną pod Beatlesów balladą kończącą i rozpoczynającą film, oraz dobrą operatorką, co biegła, niestety, śladem banalnego pomysłu — nie ma w tym obrazie nic godnego uwagi, chyba, że rozpatrzy się ważki problem, jaki scenarzysta z reżyserem wzięli na warsztat.

Kompleks małomiejski bez wątpienia istnieje, i to nie tylko w Anglii ale na całym świecie, a już chyba najbardziej w Polsce — i godny jest pióra wielkiego pisarza i wspaniałego filmowca, którym Michael Winner pewnie nie jest, bo go splycił, poraził sztucznością i przegrał...

Sopot (albo jakaś angielska mieścina). Letnia stolica Polski (albo Anglii). Miasto, co daje błyski przez trzy miesiące sezonu. Miasto, w końcu, nieduże... Zimą, według mieszkańców, nudne, jesienią — smutne, wiosną — marzące...

Czerwiec. Potem lipiec, sierpień, fragment września. Kilkuosobowa grupa beatników kosi śródlądowe dziewczyny. Byle więcej, przelotowość więc w pokojach duża, a wszystko po to, aby w smutne, posezonowe dni móc wspominać, szczycić się przed kolegami, zarobić na mit „strasznego" podrywacza.

Laikarz — przywódca grupy — ma jednak przeblyski trzeźwego myślenia, toteż rośnie w nim kompleksik, kompleks, kompleksisko... Kto tu bierze? — pyta siebie laikarz. — Kto tu, właściwie, podrywa?

Ma ten laikarz poczucie, że „kocham" stosuje się w tej grze, we wzajemnym nabieraniu, jak chrzan do wielu mięsnych dań:

— Kochasz mnie?

— Kocham.

— Mur-beton?

— Mur-beton.

— Baaaj.

— Baaaaj.

... że gdy spotka swoją „miłość", za pół roku, przypadkiem, w wielkim mieście — ona będzie chodzić z innym, i najpewniej wówczas go nie pozna.

Geografia nie wyznacza miłości. Wyznacza jednak kompleks. Głupi! Snobistyczny! Kompleks małomiejski! któremu ulegają ciasne głowy z wszystkich małych miasteczek świata, więc tak z Sopotu jak i z riwierek angielskich. Dlaczego? — To jest właśnie problem. Istniejący. Rzeczywisty. Postawiony przez „System".

I przegrany!

A. M.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Francuski film „TEN WSTRĘTNY CELNIK" nawiązuje do tradycji komedii angielskiej o charakterze sensacyjnym w rodzaju „Szajki z Lawendowego Wzgórza", „Jak zabić starszą panią" czy „Ligi gentlemanów". Anglia jest w tym gatunku niezrównana. Francuski film nie zdołał osiągnąć tej klasy, jaka znamionuje jego znakomitą angielską rodzinę. Widać — poczucie humoru u Anglików stwarza doskonały grunt pod tego rodzaju komizm. Groza ożeniona z śmiesznością przestaje przerażać. Ów świat w perspektywie absurdu nie tylko nie jest straszny — jest podwójnie śmieszny. Wiedzieli o tym dawni komicy filmowi. Ileż tego rodzaju sytuacji mamy w filmach z Charlie Chaplinem czy Haroldem Lloydem! Uwielbiała ten rodzaj humoru komedia okresu niemego. Komedia sensacyjno-kryminalna nawiązuje do tych świetnych tradycji. Jest prężna, dynamiczna i uniwersalna. Śmieszy wszystkich, — widza bardzo przeciętnego i filmowego konesera. Znalazła bowiem znakomity klucz do psychiki widza. Umie obliczyć jego reakcje. Wiadomo z potocznego życia, że ośmieszanie to skuteczna broń w konfliktach międzyludzkich. Korzystamy z niej w codziennych utarczkach i polemikach, korzysta z niej satyra, komedia, karykatura. Unieszkodliwienie zła, zlikwidowanie niebezpieczeństwa poprzez ośmieszenie sprawia podwójną satysfakcję. To jedno z podstawowych źródeł komizmu. Widz uwielbia te sytuacje, w których osobnik wielce niebezpieczny lub też cała grupa (szajka, gang) unieszkodliwieni zostają przez ostatnią życiową łamagę. Rolę takiego skończonego fajtłapy przejmuje we francuskiej komedii właśnie ów tytułowy wstrętny celnik. Do Francji przywozi narkotyki znany amerykański gangster. Handlem narkotykami zajmują się dwie konkurujące ze sobą i pragnące wzajemnie pozbyć się jedna drugiej szajki. Jedna z nich zawiadamia o wszystkim policję licząc na zlikwidowanie jej rękami konkurencyjnej szajki. Gangster zostaje aresztowany. Jeden z celników idzie odebrać jego cenne bagaże. Ale właśnie wtedy poczytany zostaje za gangstera i porwany przez nieświadomą niczego szajkę. Tu zaczyna się wielka przygoda celnika. Wmieszany przypadkowo w niebezpieczną rozgrywkę między szajkami przeżywa szereg zabawnych sytuacji. Wbrew sobie dokonuje czynów pasujących go na pogromcę, bohatera i poskromiciela już nie kociaka, lecz raczej tygrysicy.

Konkludując: nie byłam tym filmem zachwycona, jest raczej słaby. Ale można się na nim trochę zabawić. Zwłaszcza w czasie wakacyjnego bezrobocia.

MARIAREL

PO WIELOLETNIM milczeniu znów przemówiło bożyszcze młodych czytelników, autor „Buszującego w zbożu" J. D. Salinger opublikował nowe opowiadanie, którego bohater żyje — oczywiście — w salingerowskim, tradycyjnym kręgu spraw rodziny

Glassów. Nowelka ma — jak podaje prasa amerykańska — 28 tys. słow i jest kolejnym traktatem o poglądach nastolatków na sprawy wiary i reinkarnacji, życia wewnętrznego i frustracji. Ale bohater powieści zajmuje się również i problematyką literacką, analizuje Prousta i Balzaca. A że nic co ludzkie nie jest mu obce, więc interesuje się i biodrami żony dyrektora swej uczelni.

Aleksander Calder, „Fruwająca ryba"

SŁAWA FRANCJI jako kraju przyjaznego literaturze, w którym dużo się czyta — nie odpowiada rzeczywistości, jak stwierdzili niedawno francuscy wydawcy. Przeciwnie: można by powiedzieć, twierdzą oni, że Francja pod względem czytelnictwa jest krajem zapóźnionym. O sprawach tych wydawcy francuscy mówili na kongresie księgarzy w Rouen. Po przemówieniu Roberta Laffont, zabrał głos wydawca Beniamin Arthaud, który powiedział: „Jeśli nie zostana podjęte jakieś istotne kroki, w roku 1975 w ruchu wydawniczym Francji nastąpi kryzys. Tylko 16 proc. społeczeństwa francuskiego czyta książki. Jeśli chodzi o czytelnictwo, ZSRR i Wielka Brytania biją Francję na głowę". W dalszych wywodach innych mówców stwierdzano, że w planach rządowych dla rozwoju gospodarczego nie uwzględnia się w ogóle spraw książki i że nawet domy młodzieży i domy kultury odgrywają w tym względzie niewielką rolę. Księgarze i wydawcy zgodni byli co do tego, że trzeba rozpocząć stałą kampanię nad podniesieniem czytelnictwa i zmobilizować handel księgarski, biblioteki i wydawców do obrony zagrożonych interesów literatury i kultury we Francji.

„BOSKA" Marlena Dietrich udzieliła po powrocie z ostatniego tournee obszernego wywiadu prasowego. Oto jego fragment:

„W Moskwie pytano mnie, kogo z radzieckich artystów chciałabym poznać. Odpowiedziałam bez namysłu, że Paustowskiego. Okazało się, iż niestety, jest to niemożliwe, bo wielki pisarz przebywa w szpitalu. Ale oto po którymś występie ujrzałam podchodzącego do mnie starszego pana i ktoś mi szepnął, że to właśnie Paustowski. Na boga — powiedziałam — przecież on jest chory. Tak, ale on się dowiedział, że pani chciała z nim mówić i jednak przyszedł. Nie znam rosyjskiego, a tak pragnęłam powiedzieć Paustowskiemu, jak bardzo go cenię, więc po prostu wyszłam mu naprzeciw i ukłęknęłam. A on podszedł i ujął mnie za rękę, w prosty i naturalny sposób przyjmując to co zrobiłam. I to właśnie uważam za piękne i słuszne: jeśli ktoś jest naprawdę wielki to nie będzie się ubierał w fałszywą skromność, bo mu ona niepotrzebna.

ARTHUR MILLER, nowy prezes PEN-Klubu wypowiedział się w wywiadzie prasowym za zacieśnieniem kontaktów między pisarzami radzieckimi i amerykańskimi. „Powinniśmy częściej odwiedzać się wzajemnie — powiedział Miller — i to nie tylko w dużych oficjalnych grupach ale i prywatnie, indywidualnie. Będzie to najlepsze, obustronnie korzystne studium naszych krajów".

EUGENIUSZ JEWTUSZENKO staje się jednym z najpopularniejszych poetów radzieckich i to nie tylko w krajach socjalistycznych ale i na Zachodzie. Oto jego portret, dzieło świetnego fotografika włoskiego Giorgio Lotti.

Kto, co, kiedy?

relacje / niedyskrecje

NA ZACHODZIE wśród bestsellerów coraz częściej pojawiają się powieści, w ktorych nieszczęśliwi bohaterowie obojętni na wdzięki najatrakcyjniejszych sexbomb, wzdychają lirycznie do swych męskich przyjaciółek: „Jakże mi dobrze w twoich ramionach. Tak w nich ciepło!" — albo — „Ty mały gówniarzu, żebyś ty wiedział jak ja ciebie pożądam..." I tak — wybierając tylko spośród uznanych pisarzy i ich nowych książek.

James Baldwin zajmuje się po raz wtóry kwestią homosexualizmu w powieści: „Inny Świat". Pierwszy raz podjął ten temat w „Pokoju Giovanniego", drastycznej historii romansu paryskiego barmana i turysty.

Jean Genet w „Querelle" utrzymuje się od roku 1956 w czołówce zach.-europejskiej bestsellerów.

Christopher Isherwood zyskał uznanie krytyki literackiej za swego „Samotnika" (A Single Man).

Homoseksualistyczne „Wyznania Maseczki" Yukio Mishima dopiero w 1964 roku, po długich bojach z cenzurą obyczajową trafiły na półki księgarskie Paryża i Londynu i od razu zrobiły karierę literacką. Autor tej powieści jest dramaturgiem, aktorem, reżyserem i „modelką" dwuznacznych pism fotograficznych.

Są to zresztą tylko niektóre przykłady z potoku, a może nowej „fali" literackiej, która zalewa Zachód. Socjologowie dostrzegają w tej modzie objaw symptomatyczny. I tak poczytny tygodnik „Life" w reportażu o homoseksualizmie w USA stwierdza: „Jest to zjawisko masowe, społeczeństwo musi je dostrzegać i musi je zrozumieć". A wybitny krytyk literacki Josef Wood Krutsch dodaje melancholijnie: „Wiele naszych nieszczęśliwych literackich geniuszy namiętnie występuje w obronie homoseksualizmu. Zapewne dlatego jesteśmy skłonni wierzyć, że to właśnie zboczenie uczyniło ich geniuszami. Ale może było tak, że homoseksualizm uczynił ich tylko nieszczęśliwymi?".

W MŁODYM, NAIWNYM I PEŁNYM ENTUZJAZMU ROKU 1907 wpadł ktoś na pomysł, by zapewnić opiekę związku zawodowego również i prostytutkom. Związku ich własnego, branżowego. Pomysł podchwyciły sufrażystki, a gdy doszło do dyskusji już na tematy szczegółowe, organizacyjne, jedna z nich — aktorka Florence Farr — zwróciła się, jakbyśmy to dziś powiedzieli, o konsultację do najwybitniejszego znawcy tematu (dramat: „Profesja pani Warren") G. B. Shawa. Wynikła z tego korespondencja i G.B. Shaw pisał: „... projekt wydaje mi się świetny choć nieco utopijny. Taki działacz związkowy, oczywiście kobieta, musiałby być nadzwyczaj energiczny, autorytatywny i muskularny. A także gotów do poświęceń niczym święty. I do walki — jak bokserski mistrz świata wszelkich wag.

Widać zabrakło kandydatów o takich walorach, bo projekt nie doczekał się realizacji i Związek Zawodowy Cóż i Kociaków, jak dotąd nie powstał. Natomiast wspomniany list G.B.S. w tej sprawie znalazł się na nowojorskiej aukcji księgarskiej i został sprzedany za 168 dolarów.

TEGOROCZNE włoskie pokazy mody damskiej lansują kombinacje kolorów czarnego i białego. „Jesteśmy zmęczeni orgią barw — wyjaśnia to zjawisko głośny projektant mody Trico — i nawiązujemy do szlachetnych technik graficznych. Jestem pewny, że przyniesie nam to ogromne sukcesy.

Notatnik kulturalny

PONIEDZIAŁEK

Mamy w Łodzi właściwie dwa tylko pomniki. Jeden już tradycyjnie związany z sylwetką Placu Wolności, i z dramatyczną historią naszego miasta, to pomnik Kościuszki. Drugi — nowy — to pomnik Marchlewskiego, który mógłby być pod względem rzeźbiarskim bardziej ambitny i piękniej wkomponowany w architekturę miasta. No, ale istnieje, i ho! ho! jest już aż drugim pomnikiem w 700-tysięcznym mieście! Nie liczę tu — jak widać — świetnego monumentu męczeństwa na Radogoszczu, bo to sprawa, jak mi się zdaje, odrębna: pomnik jest wyobcowany ze śródmiejskiej zabudowy, stoi niby groźne memento, u samego wjazdu na przedmieścia. Łodzianie widują go rzadko.

Natomiast w samym mieście — co tu ukrywać — wykręcamy się jakimiś brzydkimi popiersiami, jakimiś brzydkimi tablicami pamiątkowymi. Tak staramy się wykpić z poważnego obowiązku i wobec Tuwima, i wobec Dzierżyńskiego, Struga, czy Reymonta. Dzieje się tak ponoć dlatego, że pomniki są kosztowne. Ale w Warszawie, Krakowie i Kaliszu, pomniki też są drogie. Jednak pamięć o zasłużonych jest widać w tamtych miastach droższa niż w Łodzi.

WTOREK

Człowiek zamierza pewnego dnia kupić sobie kosz na śmieci. Idzie do okrzyczanych sklepów tysiąca i jeden drobiazgów. No i co. No i Bierdiajew, jak mawia mój znajomy. Może by te sklepy nazwać „Tysiąc i jeden drobiazgów, których nie ma?" Człowiek obszedł wszystkie sklepy od placu Niepodległości do Wolności. Szedł cierpliwie i z pokorą. Pytał uprzejmie. Wszędzie otrzymywał tę samą odpowiedź: nie ma. A kiedy będą? Nie wiadomo. A kosz to przecież artykuł bardzo potrzebny. Nie tylko w redakcji. Także w mieszkaniu każdego obywatela. Kosz na śmieci należy także do spraw kultury. Więc jak ma być z tą kulturą na co dzień?

ŚRODA

Wychodzi w Łodzi gazeta, co się zwie „Nasze Życie" i ma ponad trzydzieści tysięcy każdorazowego nakładu. Rozprowadzana jest w całym kraju, głównie jednak i przede wszystkim w zakładach włókienniczych. Założę się, że przeciętny mieszkaniec naszego miasta nie ma o tym wydawnictwie żadnego pojęcia. Mało: nie wie, że pismo takie się w ogóle ukazuje. Ostatni numer „Naszego Życia" dlatego zwraca na siebie uwagę, że sporo miejsca poświęca sprawom kulturalnym. A więc wystawie pn. „Człowiek współczesny", czytelnictwu i bibliotekarstwu oraz domom kultury.

CZWARTEK

W naszym nowym Klubie MPiK wszystko mi się bardzo podoba. Jakie korzystne zmiany w porównaniu do dawnego lokum. Dostrzegam tylko jedną plamę na słońcu: w nowym, obszernym lokalu wyraźniej niż dawniej widać jak ubogo zaopatrzone jest stoisko z książką zagraniczną.

PIĄTEK

Na Piotrkowskiej, jak każdego lata, remonty. Na Kościuszki wykopy. Na Głównej rozbiórki. Więc na głowy przechodniów sypie się tynk, gruz i cement. A co będzie, gdy w śródmieściu zaczną się na dobre poważne wyburzenia i poważna przebudowa? Czy naprawdę przez długie lata tej przebudowy będziemy chodzić brudni i zakurzeni, z oczami zasypanymi piaskiem? Warto to tę sprawę przemyśleć i wydać jakieś rozsądne zarządzenia. Niech nam nie sypia piachem w oczy. Niech przedsiębiorstwa budowlane pomyślą o choćby tylko znośnym sposobie zabezpieczenia miasta przed tymi dolegliwościami. Bo i my i nasze potomstwo, chcielibyśmy przecież od czasu do czasu wyjść na ulicę w białych kołnierzykach.

SOBOTA

Róg Żwirki i Piotrkowskiej: na bocznej ścianie odsłoniętej po wyburzeniach, malarze kończą olbrzymią reklamę wyrobów Fotonu. Stoimy na przystanku autobusowym — ja i nieznajomy, starszy pan — i patrzymy na „ostatnie pociągnięcia pędzlem".

— Ileż to kosztuje taka reklama! — mówi starszy pan. — I czy ona jest naprawdę niezbędna? Czy nie można by tych pieniędzy wydać na inny cel?

Nie wiem, nie znam się na reklamie, która choć pozornie często zbędna — na całym świecie pochłania przecież ogromne środki. A słuchając tego, co mówi starszy pan, rozważam dwie kwestie. Pierwsza z nich jest pesymistyczna: przywykliśmy do marnotrawstwa i jesteśmy na nie szczególnie boleśnie uczuleni. Druga kwestia — ma może i optymistyczny sens; zaszły w naszym społeczeństwie istotne przemiany psychologiczne: ten starszy pan uważa się — jak widać — za współodpowiedzialnego za wszystko co się dzieje w kraju. Bo czyż inaczej martwiłoby go to, iż wielki koncern chemiczny wydaje pieniądze w sposób niecelowy?

NIEDZIELA

Poszliśmy i my do parku im. Sienkiewicza, by w Ośrodku Propagandy Sztuki obejrzeć wystawę pn. „Człowiek współczesny". Chodziliśmy długo, przyglądaliśmy się uważnie obrazom. Owszem, rzecz pomyślana ciekawie. Człowiek współczesny jak go widza malarze. Najbardziej podobały nam się obrazy Wiesława Garbolińskiego, Benona Liberskiego, Mariana Jaeschke i Jerzego Krawczyka. Stwierdzamy z przyjemnością, że wystawa jest całkowicie udana i każdy winien ją obejrzeć.

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

FRANCISZEK MOLNÁR

Gumka

OSOBY: Ojciec i syn. Chłopiec lat sześciu. Miejsce akcji: gabinet ojca. Na biurku leży gumka. Jedna część gumki jest jasnoszara, druga — ciemnoszara. Strona jasna służy do wymazywania ołówka, ciemna — atramentu. Ojciec mówi z powagą, bawiąc się gumką.

Ojciec: Wróciłeś więc o szóstej do domu, tak?

Syn: Tak.

Ojciec: I mówiłeś, że nauczyciel przyjdzie o szóstej?

Syn: Tak.

Ojciec: No widzisz, mój synu, a nauczyciel miał przyjść o piątej. Przyszedł i czekał. A więc skłamałeś.

Syn: (spogląda na gumkę).

Ojciec: Skłamałeś.

Syn: (nadal przypatrując się gumce): Tak.

Ojciec: Skłamałeś, moje dziecko, i to już samo przez się jest przerażające. Poza tym niezręcznie kłamiesz. Przecież musiałeś sobie zdawać sprawę z tego, że nauczyciel będzie tu o piątej i kłamstwo natychmiast się wyda. Czemuś to zrobił?

Syn: (myśli sobie: Wiem, że jasna część gumki jest do wycierania, ale do czego służy ciemna? Takiej gumki nie widziałem jeszcze).

Ojciec: Odpowiedz!

Syn: Proszę?

Ojciec: Odpowiedz, dlaczego to zrobiłeś?

Syn: Tak. (myśli: Czy to sklejone? Nie, to niemożliwe. A może ciemna część jest po prostu pomalowana? Nie, to także niemożliwe. Ale jak to właściwie zrobione, że jedna strona jest ciemna, a druga jasna?)

Ojciec: No, nie bój się, moje dziecko, nie zjem cię. Szczerze odpowiedz tylko jak mężczyzna. Spójrz mi w oczy. Nie przerażaj się, nie będę cię bił. Pouczę cię tylko. W życiu najlepiej zawsze mówić prawdę. Popatrz mi w oczy. Nie bój się. Dlaczego skłamałeś?

Syn: Bo... bo... (myśli sobie: Ta ciemna część gumki nie jest tylko do trzymania w palcach, bo ma starty koniec, tak jakby nią wycierano. Więc to jednak jest guma. Ale ta ciemna część to musi być jakiś specjalny rodzaj gumy, w przeciwnym razie nie miałaby żadnego koloru).

Ojciec: (do siebie: Dziecko ma poczucie własnej godności i poczucie odpowiedzialności. Rozmawiam z nim spokojnie, spokojniej już nie można, a mimo to spogląda na mnie nieśmiało i odpowiada zmieszane. Widać, że robi to na nim wielkie wrażenie. Mówią, że w moim spojrzeniu jest surowość, która znana jest także w mojej karierze prawniczej. Oskarżeni także są zmieszani, gdy im się przyglądam. Ale tu przecież nie chodzi o oskarżonego, tylko o moje własne dziecko. Nie występuję tu jako sędzia, lecz jako ojciec. Muszę traktować je łagodniej). Żałujesz kłamstwa, kochanie?

Syn: Tak. (myśli sobie: Teraz wszystkiego będę żałował, do wszystkiego się przyznam, poproszę o przebaczenie i uczynię co on tylko zechce, byleby to się już skończyło. Kiedy wyjdzie, wypróbuję gumkę).

Ojciec: Nie będziesz już nigdy kłamał?

Syn: Nie.

Ojciec: Będziesz grzeczny?

Syn: Tak.

Ojciec: Nie ukarzę cię więc, moje dziecko. Żebyś jednak pamiętał ten dzień, napiszesz sto razy: Nie wolno nigdy kłamać.

Syn: Ołówkiem czy atramentem?

Ojciec: Atramentem. Widzę, że jesteś dzieckiem dobrze wychowanym, które nie sprzeciwia się karze. Jeśli pięknie przeprosisz, w ogóle daruję ci karę. (myśli: Z tym dzieckiem trzeba się łagodnie obchodzić. To dobry materiał. Ja byłem taki sam).

(Syn myśli: Gumka przepadła.).

Ojciec: No, jak?

Syn: Wolę napisać.

Ojciec: Co? Nie prosisz o przebaczenie?

Syn: Nie.

Ojciec: (myśli: Dokładnie tak jak ja. Nie chce tego, co uraża jego poczucie honoru. Byłem taki sam. Ale jako ojciec nie mogę tego tolerować. Zwraca się do syna). — Nie prosisz o przebaczenie? Czy nie widzisz, że popełniasz błąd?

Syn: (myśli: Z pewnością doskonale można tym wycierać atrament. Ale spróbuję ciemną stroną wytrzeć także to, co napiszę ołówkiem).

Ojciec: Odpowiadaj, mój synu.Twoje milczenie jest wprawdzie godne mężczyzny, ale wobec swego ojca nie powinieneś milczeć. Ojciec nie jest twoim sędzią, lecz dobrym przyjacielem.

Syn: (myśli: Jeśli odezwę się teraz choć jednym słówkiem, uwolni mnie od kary i nie będę mógł siedzieć przy biurku. Wtedy odetnę nożem kawałek gumy. Taki malutki kawałeczek, żeby nie zauważył).

Ojciec: Nie masz do mnie zaufania?

Syn: (myśli sobie: W miejscu gdzie odetnę, zbrudzę gumkę, żeby nie poznał świeżego przecięcia).

Ojciec: Jesteś uparty? Więc dobrze. (myśli z zadowoleniem: Ja też byłem taki, dokładnie taki sam).

Syn: Tatusiu, ja...

Ojciec: No co?

Syn: Ja to zdanie napiszę sto razy.

Ojciec: (myśli: Nie wolno okazać mi słabości. Cieszę się, że nie prosi o wybaczenie, niech napisze sto razy. Ja sam wolałbym odbyć karę niż się upokorzyć. Surowo do chłopca). Natychmiast napiszesz sto razy: Nigdy nie wolno kłamać! Jeśli tego nie napiszesz sto razy, nie dostaniesz kolacji.

Syn: Pięćdziesiąt razy atramentem i pięćdziesiąt razy ołówkiem.

Ojciec: Wszystko mi jedno. Siadaj zaraz przy biurku i nie zjawiaj się w jadalni, zanim nie będziesz gotów. Raz, dwa. (dziecko siada. Ojciec zbiera się do wyjścia).

Ojciec: (do siebie: Nie ma wcale zrozpaczonej miny. Z radością usiadł przy biurku. Cieszy go to, że nie musiał się upokorzyć. Jestem szczęśliwy. To dziecko ma wielki charakter! Wychodzi).

Syn: (do siebie: Nareszcie!).

(w godzinę później).

Ojciec: No co? Gotowe?

Syn: Gotowe, ojcze. Ale pomyliłem się o dziesięć zdań. Napisałem 110. Właśnie wymazuję te dziesięć gumką. Pięć ołówkiem, a pięć atramentem. (dzieciak z twarzą zarumienioną z radości wymazuje gumką).

Ojciec: (do siebie: Jakie skrupulatne w pracy, dobrze wychowane, dokładne dziecko. Charakter, godność osobista, dyskrecja godna mężczyzny i sumienność... Całkiem jak u mnie. To dziecko wyrośnie na sędziego. Szczęśliwy, całuje główkę chłopca).

Tłumaczył:
JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Książki nadesłane

P. Korzec — Rok 1905 w Łodzi — W.L. zł 4,—

T. Dobrzeniecki — Tryptyk z Pławna — Auriga — zł 35,—

D. Ciepieńko-Zielińska — Staropolskie romanse W.L. zł 45,—

T. Cyprian — Nie oszczędzać Polski — Iskry, zł 25,—

Z. Wróblewski — Pora powrotów — Iskry, zł 10,—

A. Sillitoe — Klucz do drzwi — KIW, zł 35,—

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

NIE PRZESZKADZAĆ!

W wielu reportażach i impresjach z podróży poza granice kraju dokonują nasi piszący rodacy rewelacyjnego odkrycia: grzeczności, uprzejmości i wzajemnej, uśmiechniętej życzliwości ludzi. W najmniejszych życiowych drobiazgach, w mikrosytuacjach widać tę życzliwość chyba najwyraźniej. A także jej brak — naburmuszoną pretensję do całego świata, niechęć, przymus i urazę.

W ubiegłym roku pisałem o kierowniczce domu wczasowego, która z góry wyprosiła sobie jakiekolwiek interwencje co do walących się łóżek, „bo dom jest w przededniu remontu". Rozbroiła. Teraz znowu kierowniczka — nie ta sama, ale podobna — omawiając na powitanie program turnusu, mówi: „i wreszcie osiemnastego, najpiękniejszy dla mnie dzień, a dla was może smutny — wyjazd gości wczasowych".

Najpiękniejszy dzień, bo wreszcie diabli gości zabiorą, ci sami, którzy ich tu na utrapienie pani kierowniczki przysłali. W dzień odjazdu już od wczesnego rana — a jest to należny nam czternasty dzień wczasów — sprzątaczki wyciągają spod gości prześcieradła, w umywalniach nie ma ciepłej wody, obiad je się w galopie, bo kelnerka czeka za plecami na obrus, chwyta go zanim przełkniemy zupę, kolacji nie będzie wcale, możecie dostać suchy prowiant. Dlaczego? Bo ostatni dzień. Zjeżdżajcie stąd, byle szybko, dość nam napsuliście krwi swoim próżnowaniem, gdy my musimy pracować!

Autobus przyjeżdża do miasteczka o jedenastej. Spieszymy się do sklepu. Ba, dziś wtorek, któż mógł zgadnąć, że we wtorki sklep ma przerwę obiadową od jedenastej. Pani kierowniczka zamyka właśnie drzwi od wewnątrz. Na proszący gest przez szybę pokazuje obrażona napis: przerwa obiadowa. Jestem jedynym klientem, ale nie załatwi. Ma prawo, oczywiście, tyle że życzliwości nie ma za grosz. I może zmysłu handlowego też. Nie przeszkadzać!

Nie daj Boże o coś poprosić poza regulaminem. Czy będzie autokar do stacji, przecież jedziemy wszyscy razem? — Nie moja rzecz — odpowiada przewodnik, którego rzeczą jest wyłącznie chodzenie na wycieczki z wybraną spośród turnusu dziewczyną. — Moja też nie — mówi kierowniczka. Rzeczywiście, w ich zakresie czynności tego nie ma. A wiemy dobrze, że wystarczyłby jeden telefon z ich strony. Czort was zabierz, targajcie swoje walizy piechotą, byle szybko!

Jakby tu jeszcze dokuczyć ludziom, nie podpadając pod żaden paragraf? Jakby im „pokazać", draniom uśmiechniętym, czy — odwrotnie — zahukanym i smętnym? Można na przykład wpuścić do autobusu PKS żonę i dziecko, a zatrzasnąć drzwi przed mężem. Komplet! Mąż ma czyste ręce i koszulę, prosi uprzejmie. Prosi uprzejmie? No to tym bardziej: odsuń się pan, ja tam nie wiem czy to pańskie dziecko!

Dowcip konduktora z entuzjazmem podchwytują pasażerowie, nasz konduktor — nasz pan. Ruszamy; mąż zostaje na deszczu śmieszny jak nie wiem co, żona trzęsie się ze zdenerwowania, dzieciak płacze. Trzeba było nie jeździć, frajerzy. Konduktor miałby mniej pracy.

Nie macie pojęcia, ilu ludziom człowiek przeszkadza, ledwie wychyli głowę z domu. Wszystkim! Przed wszystkimi jest w defensywie, jest stroną proszącą, na łaskawym chlebie. Czyżbyśmy wszyscy mieli mizantropijne ciągoty do pustelniczej chatki hen daleko, do absolutnej ciszy i bezruchu? Precz z ludźmi? Wynoście się i nie przeszkadzajcie?

Też niedobrze. Jeżeli wszyscy się wyniosą, komu będziemy „pokazywać", na kim rozładowywać głupie, prostackie, aspołeczne kompleksy?

CWIEK

PS. Jak już pech, to na kilka pięter. Chciałem złagodzić swą śledzienniczą złośliwość i rąbnąć się w lewą pierś, to znów inna złośliwość — drukarskiego złego duszka — wtrąciła swoje trzy grosze i pokręciła całe zdanie. Słowo daję, że w felietonie pt. „Bez toastów" w numerze 26 „Odgłosów" miało być:

„... nie tylko kawa z tortem, czego nie mógłbym dowieść, i zdarza się, że taką nieoficjalną część zalicza się w poczet rozrywek kulturalnych, gier i zabaw maluchów, czego również nie mógłbym dowieść. Weredyk się zagalopował. Wstydzę się, bo oczywiście trzeba było nie wierzyć. No trudno..." i tak dalej;

a nie, jak wydrukowano:

„... nie tylko kawa z tortem, czego nie mógłbym dowieść, i zdarza się, że taką nieoficjalną część zalicza się w poczet rozrywek kulturalnych, gier i zabaw maluchów, czego również nie mógłbym dowieść, i zdarza się, że taką nieoficjalną część bo oczywiście, trzeba było nie wierzyć. No trudno..." i tak dalej.

W co jeszcze mam się bić, żeby już było jasne i żeby się nikt nie gniewał?

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam.1954.VII.65. N-1